Nr. 10. Lwów w październiku 1898. Rok XXI.




Prenumerata roczna: 5 zł., 10 mr., 5 rs., 12 lr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi z początkiem każdego miesiąca.

# OD REDAKCYI.

Od przeprowadzonej przed dwoma laty reorganizacyi galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego, rozwój Towarzystwa postępuje ciągle naprzód pomyślnie, a każdy prawie miesiąc przynosi jakiś fakt nowy, świadczący o tem, że praca Wydziału nie idzie na marne. — Już czytelnicy „*Łowca*" w listach nadsyłanych Redakcyi, niejednokrotnie podnosili z uznaniem dodatnią działalność Wydziału i pomyślne skutki tej działalności.

Dość wspomnieć o nawiązaniu żywych stosunków między Wydziałem a członkami, tak, że teraz wszyscy prawie członkowie zostają w ciągłym kontakcie z Wydziałem, co wychodzi tylko na pożytek łowiectwa i rozwój gospodarki łowieckiej w kraju, dość wspomnieć o staraniach Wydziału, rozwiniętych na wszystkich polach, staraniach tak wydatnych, iż nawet uznała je władza, polecając do powoływania na pierwszem miejscu na rzeczoznawców i ocenicieli, przewidzianych w ustawie łowieckiej i przepisach wykonawczych do tej ustawy, delegatów i członków galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego. Skutki tego współdziałania członków Towarzystwa z władzami w obronie ustaw łowieckich nie długo dadzą na siebie czekać. W ostatnich czasach łowiectwo w kraju mimo tego, że mamy jeszcze rozległe knieje, gdzieby szlachetny zwierz mógł znaleźć ochronne legowisko, podupadło dlatego, że rozzuchwaliła się w borach na-

szych bezkarna, wszystko tępiąca swawola. Ani żandarm, ani wszelka władza polityczna, nie są w stanie, mimo najlepszej chęci, stać na straży prawa, jeśli tego prawa nie popiera gorliwie ogół społeczeństwa. Dziś, Bogu dzięki, społeczeństwo łowieckie poznało, iż chcąc działać skutecznie musi się kupić, że wszyscy łowcy muszą iść ramię do ramienia i dziś, uszykowawszy się pod sztandarem Towarzystwa łowieckiego, dążą razem do poprawy łowiectwa, gałęzi, która w ekonomii społecznej niemałe ma znaczenie i przyczynić się bardzo może do podźwignięcia dobrobytu w kraju. Za przykładem Wydziału idą członkowie i dziś ze wszystkich stron kraju otrzymujemy relacye, że dzięki wpływom członków naszego Towarzystwa racyonalna gospodarka łowiecka coraz szersze zatacza kręgi, że coraz mniej na tem polu niedbalstwa i niechęci. Łowcy nasi poznali, jaki pożytek przynosi wspólna akcya, kupią się więc około Wydziału i Towarzystwa tak, że dziś liczba ich od dwóch lat, t. j. od reorganizacyi Towarzystwa wzrosła w dwójnasób, a da Bóg, że wkrótce nadejdzie czas, gdzie wszyscy łowcy znajdą się pod sztandarem Towarzystwa z pożytkiem dla kraju, społeczeństwa i dla siebie.

Wydział Towarzystwa i w tym kierunku nie zasypia pola. Wykonywując uchwałę ostatniego Zjazdu łowieckiego dąży do stworzenia krajowego Związku Towarzystw myśliwskich, jego biuro przygotowało już w tym celu cały szereg odezw, a przy dobrej woli zarządów Towarzystw myśliwskich, Wydział galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego może już na przyszłorocznym zjeździe łowieckim będzie mógł zebranym łowcom oznajmić, że Związek łowiecki z projektu, stał się ciałem. Złączonemi siłami wiele dokonać można!

Wytępienie kłusownictwa to także jedno z głównych zadań Wydziału Towarzystwa. Na tem polu jest jeszcze wiele do zdziałania, a pracę w tym kierunku może ułatwić Wydziałowi tylko pomoc ze strony delegatów i członków Towarzystwa.

Doniosłość pracy Towarzystwa wogóle zależy i zależeć zawsze będzie od udziału w niem łowców. Bliscy świadkowie działalności Wydziału, stwierdzić musimy, iż niestety, mimo bardzo znacznego polepszenia się stosunków, jeszcze współpracownictwo członków naszego Towarzystwa nie jest takiem, jakiem ze względu na pożytek kraju i łowiectwa, być powinno. Każdy członek powinien sobie za obowiązek poczytać, choć raz na kwartał przesłać Wydziałowi sprawozdanie o stanie zwierzyny w swym rejonie i w rejonach sąsiednich, delegaci powinni takie wykazy nadsyłać ze swych okręgów. Mając takie wykazy, Wydział Towarzystwa mógłby wypracować ogólną statystykę łowiecką kraju, a oparty na tych dokładnych relacyach i cyfrach, mógłby zastosować swą akcyę odpowiednio do każdego z okręgów. Tu z pomocą władz starałby się o wytępienie kłusowników, tam przy pomocy władz, stosownie do przepisów ustawy i przy pomocy łowców, swych członków, niszczyłby szkodniki, tamujące rozwój pożytecznej zwierzyny, tam wreszcie starałby się dostarczyć członkom swoim to kuropatw do rozmnoży, to zajęczyc do poprawienia krwi, to bażantów do założenia bażantarń itp. Pozbawiony tych sprawozdań Wydział ma ręce nieco skrępowane i nie może tak działać, jakby tego pragnął.

A więc w imieniu Wydziału jeszcze raz apelujemy do delegatów i członków z prośbą o przysyłanie sprawozdań. Pisma niemieckie masę szpalt swoich zapełniają takiemi sprawozdaniami, u nas z tem bardzo a bardzo skąpo.

Łącznikiem między Wydziałem a członkami jest nasze pismo *„Łowiec“*, jedyne pismo polskie, poświęcone sprawom łowiectwa. Wydział Towarzystwa i w tym kierunku pragnie rozszerzyć swą działalność, pragnie, aby *„Łowiec“* częściej niż dotąd dostawał się do rąk członków i postanowił od Nowego Roku zmienić *„Łowca“* z miesięcznika na dwutygodnik. Kosztów połączonych z tą zmianą, kosztów bardzo znacznych, Wydział się nie lęka, bo ufny jest w to, iż członkowie go poprą, że starzy członkowie pozyskają dla Towarzystwa nowych, i że nie braknie *„Łowca“* tam, gdzie ktokolwiek hołduje szlachetnej pasyi myśliwskiej

My zaś wykonywując uchwałę Wudziału gal. Tow. łowieckiego, starać się będziemy coraz więcej rozszerzać łamy naszego pisma, poruszać w niem sprawy żywotne, cały ogół myśliwych obchodzące, zrobić go przyjacielem prawdziwym czytelników i postawić go na takiej wyżynie, aby mógł śmiało iść w zawody z najlepszemi pismami zagranicznemi.

Wielkim ciosem jest dla nas śmierć śp. Władysława Spausty, jednego z najpłodniejszych i najlepszych pisarzy łowieckich. Luka, wyrządzona przez stratę tego cenionego pisarza, będzie dotkliwą — ale o ile sił nam starczyć będzie, będziemy się starać ją zapełnić. Już teraz poczyniliśmy kroki, aby na współpracowników pozyskać pierwsze siły pisarzy łowieckich, rozwinęliśmy akcyę, aby pozyskać korespondentów w Królestwie i W. Księstwie Poznańskiem, by *„Łowiec“* dawał dokładny obraz stanu i rozwoju łowiectwa we wszystkich ziemiach polskich.

Niektóre artykuły będziemy ilustrowali i w ogóle starać się będziemy rozwinąć dział ilustracyjny, a przez poruszanie całego szeregu pytań

i spraw dotyczących łowiectwa, będziemy się starali zainteresować ogół łowców i dorzucić swą cegiełkę do rozwoju tej gałęzi naszego gospodarstwa krajowego.

Usiłowania nasze atoli i pragnienia nie ziszczą się, jeżeli nie znajdziemy szczerego i szerokiego poparcia wśród naszych czytelników. — Prosimy ich o współpracownictwo. Każda notatka, każdy drobny szczegół, zanotowany przez naszych czytelników i nam przesłany ma swoje znaczenie i znajdzie miejsce w łamach *„Łowca“*. — Poparci przez czytelników staniemy się pismem obchodzącem wszystkich, nieodłącznym, a nader pożądanym towarzyszem dla każdego.

Prosimy was o poparcie, a w zamian dajemy nasze szczere chęci i rzetelną pracę.

*Redakcya.*



# Władysław Spausta.

Smutną wieścią przychodzi nam podzielić się z czytelnikami naszymi. Oto śmierć nieubłagana przecięła pasmo życia jednego z najszczerszych przyjaciół naszego pisma, jednego z najlepszych polskich pisarzy łowieckich. Władysław Spausta umarł. Wraz z nim zeszedł do grobu mąż, który gorąco ukochał przyrodę, który dla niej żył, ją ciągle badał, a myśli swych kwiaty składał w przepysznych artykułach, drukowanych przeważnie w *Łowcu*. Któż z czytelników naszych nie zachwycał się artykułami śp. Władysława pisanymi z erudycyą uczonego, dla którego wszystkie księgi mądrości stoją otworem, a mimo tego pełnymi zawsze humoru, owianymi polotem poezyi szczerej, poezyi wzniosłej, bo czerpanej wzrost u źródła przyrody. Nasze knieje i bory, łowiectwo nasze nie miało lepszego znawcy; gdy się czytało jego artykuły, zdawało sie, że badał on wszystko, że pozyskał jakiś tajemniczy kamień, czy zioło, które mu opowiedziało o tajemnicach naszych zwierząt, że dotarł do matecznika, w którym, jak śpiewał nam wieszcz Adam: „główna królestwa zwierząt i roślin stolica“, gdzie

. . . . . . . . . mają swoje dwory
Dawny tur, żubr i niedźwiedź, puszcz imperatory,
Około nich na drzewach gnieździ się ryś bystry,
I żarłoczny rosomak, jak czujne ministry!
Dalej zaś, jak podwładni, szlachetni wassale,
Mieszkają dziki, wilki i łosie rogale;
Nad głowami sokoły i orłowie dzicy
Żyjący z pańskich stołów dworscy zausznicy;

gdzie jest ich cmentarz i . . . „kędy bliżej śmierci
Ptaki składają pióra, czworonogi sierci,
Niedźwiedź, gdy zjadłszy zęby strawy nie przeżuwa,
Jeleń zgrzybiały gdy już ledwie nogi suwa,
Zając sędziwy, gdy mu już krew w żyłach krzepnie,
Kruk, gdy już posiwieje, sokół, gdy oślepnie,
Orzeł, gdy mu dziób stary tak się w kabłąk skrzywi,
Że na wieki zamknięty już gardła nie żywi.

Śp. Władysław podpatrzył wszystkie tajemnice życia naszego zwierza, zbadał je dokładnie, poznał i przeszłość jego i w szeregach przepięknych artykułów dzielił się zdobyczami swemi z czytelnikami *„Łowca“*.

Erudycya w tych artykułach imponująca Nie było dziedziny wiedzy, którejby śp. Władysław w artykule swym nie poruszył, nic mu nie było obcem, wszystkie gałęzie nauk przyrodniczych znał na wylot, a chyba nie było i nie ma wśród naszych pisarzy łowieckich nikogo, ktoby znał tak dokładnie literaturę łowiecką wszystkich krajów, jak śp. Władysław.

Mimo to, iż w każdym artykule Spausty poruszonych było wiele rozmaitych rzeczy, że każdy był oparty na badaniach ściśle naukowych i na gruntownej znajomości przyrody, nie były one swą uczonością zawiłe, ogromem nagromadzonego materyału ciężkie, lecz czytało się je jak jaką powieść najciekawszą, bo przeplatane były humorem i opisami scen komicznych. Prawdziwym poetą był zmarły w opisie lasu i jego życia. Zdawało się, iż rozumiał on rozgowor dębów, że buki szeptały mu swe tajemnice, brzoza opowiadała swe bole, a sosna zdradzała mu tajemnice płochliwych saren lub rączych szaraków. Z rozgoworów dębów, setki lat pamiętających, zdawało się, że spisywał dzieje dawnych wieków, dzieje, które tak świetnie opisał w swej pracy: „Z łowieckiej przeszłości“ (Rys historyczny zwierząt łownych, będących na wymarciu: tur, żubr, koń dziki, suhak, sobol, rosomak, bóbr). Praca ta, to prawdziwa kopalnia nieznanych szczegółów dla historyka przyrody.

Od lat kilkunastu nie było prawie numeru *Łowca*, w którymby nie było jakiej jego rozprawki, korespondencyi, studjum przyrodniczego, lub jakiego ciekawego epizodu, często humorystycznego, w którym jednak zawsze zawierało się trafne spostrzeżenie lub cenna rada.

Śp. Spausta pisał wiele, a w studjach swych poruszał niezliczoną ilość kwestyi, zagadnień z zakresu łowiectwa i przyrody. Wyliczymy niektóre. W roczniku z r. 1891 zamieszczoną była wspomniana powyżej praca „Z przeszłości łowieckiej“; w r. 1892; „Z zatargów rodzinnych ekonomji łowieckiej“; w r. 1893; „Zkrainy lotów“ (rozprawka przyrodnicza na temat ludowy i botów

ptaka)“, „Morituri“ (Łoś, pochodzenie jego, zatrata, łoś w zwierzostanach rozmaitych krajów). „Niedobitki“ (ryś w dziejach łowiectwa polskiego i stan obecny) „Uratowani“ (o świstaku i bobaku); w r. 1895: „Zakonnik leśny“, (głuszec przedhistoryczny, życie, tokowania, łowy) „Typy parostków“ „Dawni wróżbici“ (życie, przyroda i zwyczaje łabędzie, myty i legendy o nich) „Kyneginetyka“ (rozprawka o psie, pochodzeniu jego, zastosowanie do łowiectwa); w r. 1896: „Niedźwiedź“ „Cietrzew“; w. r. 1897: „Jeleń“; w r. 1898: „Żóraw“. Wyliczyliśmy część tylko i tylko prace ważniejsze, oprócz tego każdy rocznik zawiera cały szereg studjów drobnych.

Większość powyżej wyliczonych rozpraw wydał Spausta w osobnym tomie pt. „Na tropach“ *).

Wielkie zasługi położył śp. Spausta około urządzenia i uporządkowania pawilonu myśliwskiego na wystawie krajowej w r. 1894. Pawilon ten, który ku sobie ściągał zawsze liczne tłumy ciekawych, był dziełem jego skrzętnej pracy i olbrzymiej erudycyi. A najciekawsze rzeczy w tym pawilonie pochodziły właśnie ze zbioru Spausty, gdyż jako niezmordowany badacz natury i zbieracz rozmaitych okazów wchodzących w zakres łowiectwa — posiadał ogromne a drogocenne zbiory: Wystawił on tam: skóry kuny, murki, lisa, tchórza, wydry, i żbika; 17 sztuk okazów przedstawiających naukowo rozwój parostków; zbiór przyborów łowieckich i kłusowniczych z okolic naddniestrzańskich, jak strzelb, torb, sideł, parę żelaz, sieci itp.; gniazda ptasie i jaja, preparaty motylicy, kolekcyę szkód leśnych zrządzonych przez zwierzęta łowne itp. Bardzo zajmującą była kolekcya pomiotów zwierząt łownych.

*) W tece naszej redakcyjnej mamy jeszcze kilka jego prac. Jedną z nich pt. „Tychon“ zamieszczamy poniżej. Oprócz tego zostawił śp. Spausta, drugi tom, przygotowany do druku, dzieła swego pt. „Na tropach“. Poczyniliśmy już kroki, aby od rodziny dzieło to dostać i zamieścić je w łamach *Łowca* Przyp. redakcyi.

Śp. Spausta przez dłuższy czas mieszkał w Koszarkach, (folwark w dobrach hr. Lanckorońskiego), tam też większą część rozpraw swych napisał. W r. 1897 przeniósł się do majątku swego Kotowania, w pow. samborskim, gdzie umarł. Przyczyną śmierci był rak, który rozwinął się był na twarzy i szyi.

W życiu towarzyskiem był śp. Spausta nader miłym, rozmownym i dowcipnym. Opowiadaniom jego całemi godzinami można się było przysłuchiwać, opowiadał zaś bardzo chętnie.

Uprawiał też śp. Spausta malarstwo i rzeźbiarstwo, i pozostawił po sobie kilka bardzo udatnych, jak na dyletanta, scen z polowań lub natury.

Dom jego był prawdziwym gabinetem uczonego. Na ścianach i podłogach widziałeś porozwieszane skóry najrozmaitszych zwierząt; tu wpadały ci w oko łby powypychane, tam bogata kolekcya parostków, tu zbiór minerałów, tam zbiór owadów, tu zielnik, tam zbiór różnobarwnych, mieniących się tęczowemi barwami motyli, tu rozpoczęta akwarela przedstawiająca wnętrze lasu, tam zaczęta rzeźba: piękny łeb dzika lub wieńce jelenia. Mimo pewnego nieładu wszystko tchnęło artystycznym smakiem.

Dziś niestety oczy jego już zamknięte, usta zamilkły na wieki, ręka nie ujmie strzelby, nie chwyci pióra, aby nakreślić piękny obraz przyrody. Śmierć przecięła nić jego życia, literaturę łowiecką pozbawiła jednej z najcenniejszych sił.

Nad mogiłę jego, usypaną w cichej wiejskiej ustroni pod korzeniami rozłożystej lipy, płyną rzewne wspomnienia tych, których zachwycał swojem piórem. Spoczął, pozostawiając po sobie żal powszechny.

Niech spoczywa w spokoju, póki Go Najwyższy na zbór nie powoła! Cześć jego pamięci.

# TYCHON.

NAPISAŁ

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

Urodził się w zapadłej wiosce naddniestrzańskiej, w ten sam sposób, jak się rodzą wszyscy ludzie, ale ochrzczono go imieniem niezwykłem, wyszukanem jedynie z tej przyczyny, że „ne mał bat'ka“.

Pomimo rozpaczliwej, lecz bezsilnej opozycyi matki, otrzymał na chrzcie imię „Tychon“, imię, którego dotychczas jeszcze nie nosił żaden obywatel jego rodzinnej wioski. Po matce zwano go „Małanczyn“, a jak się dalej nazywał, to już nikogo nie obchodziło, zresztą nie wiedział i on sam o tem, aż do czasu, gdy doszedłszy lat, odwieziony został do branki w powiatowem miasteczku. Nad swój wiek rozwinięty i zdrów jak ryba, piękny chłopak, przypadł od razu do gustu komisyi, wskutek czego już w jesieni „narukował“. Jakiego tam losu zaznał nasz oczywiście analfabeta, zmieniwszy dotychczasową swą ość rybacką na karabin, o tem nic pewnego powiedzieć nie mogę, bo wszystkie jego listy, pisane nieudolną ręką któregoś z wojskowych „kamratów“ do matki, nie zawierały nic szczególnego, przeciwnie powtarzała się stale wiadomość, że „powodzenie jego jest jak zwykle we wojskowym stanie“, a koniec listów wszystkich, zdaje się nawet nieinspirowany przez podpisanego znakiem krzyża, zawierał stałą formułkę: „A pryszlit meni jakij grejcar, bo koło mene wełyka bida“.

Wreszcie ustały wszelkie wieści od Tychona, było to lato 1878 r. Jeden z sąsiadów Małanki, matki Tychona, powróciwszy ze stolicy, dokąd odwoził siano, przywiózł wreszcie wiadomość, że cały pułk Tychona wyruszył

już dawno na wojnę z Turkiem. Spłakała się biedna Małanka za swym jedynakiem, ale to nie mogło powstrzymać dalszych kroków Marsa i w dniu 27. lipca Tychon pod sztandarami korpusu Philipowica przekroczył pod Brodem Sawę, a tem samem granice Bośni. — Mijały miesiące i lata, a nie było pewnej o Tychonie wieści. opowiadali różne epizody przebytej kampanii, powracający urlopnicy, ale o losach Tychona nie można się było nic pewnego dowiedzieć. Jedni utrzymywali stanowczo jako rzekomo naoczni świadkowie, że Tychon zginął w sposób bardzo brzydki, bo Turki pojmawszy go rannego, obcięli mu nos i uszy, złupili włosy z głowy wraz ze skórą, a potem zakopali na pobojowisku, inni znów mieli być świadkami innych operacyj, poprzedzających zakopanie ciała, utrzymując, że Turki z każdym „chrestyanynom“ robią to samo, dostawszy go w swoje ręce, ale znalazł się również jeden z rówieśników Tychona, który zdobywszy sobie w podległej kampanii gwiazdkę »fraitra», potrafił zadać stanowczy kłam tym wszystkim wersyom. Przychodziło wskutek tej różnicy zdań do gwałtownych starć pomiędzy panem freitrem a resztą kamratów, ale pan freiter nie dawał za wygraną, utrzymując stanowczo, że Tychonowi ani włos z głowy nie spadł, że widział go po zdobyciu Sarajewa, że dostał urlop, odjechał z jakimś »wełykim panom», który go sobie bardzo »spodobał» i przyjął „na mysływcia“ za „wełyki hroszy“.

Kto znał przeszłość Tychona i jego zdolności myśliwsko-rybackie, ten łatwo uwierzy, że mógł on wpaść w oko każdemu, kto go miał sposobność podpatrzenia w wykonywaniu tych praktyk, że mógł się „spodobać“ jakiemuś kawalerowi, a szczeremu wyznawcy kultu Diany; z drugiej jednak strony powątpiewałbym czyli to dziecko natury, zwykłe bujać z oścą za szaranem lub sumem po wodach Dniestru, lub śledzić z kocią cierpliwością przesmyki wydry w komeszach brzegów, to znów tropić kuny w labiryntach sadyb, że ten nie znający żadnych rygorów rybak i myśliwy, da się kiedykolwiek nagiąć do ciasnoty służbowej obroży, choćby za „wełyki hroszy“ Był to myśliwy sam dla siebie, a nie dla czyjejś przyjemności, a ryby w wodach, ptaka w powietrzu, czworonoga na ziemi uważał za dar boży — dostępny dla każdego, kto go chciał i potrafił posiąść.

Jeszcze wśród wioski krążyły rozmaite o Tychonie wieści, gdy nagle, a była to późna pora jesienna, czas wszystko wyjaśnił. Od czasu, gdy Tychon opuścił wioskę rodzinną, już czwarty raz zbrunatniałym liściem okryły się okoliczne dąbrowy, czwarty raz podniosły się skrzydlate chmury ptactwa, z otaczających toni i bagien, dążąc na południe, znów przedśmiertna cisza głuchej, ponurej jesieni zaległa okolicę, a gęsta mgła skryła wszystko niby pod kloszem szkła mlecznego.

Był wieczór poniedziałkowy — dzień targu w najbliższem miasteczku; błotną grobelką o licznych przerwach i kałabaniach, ciągnął się w mgle i w zmroku wóz ku wiosce. Chłop na przodzie siedząc i powożąc, wywijał jak automat bezustannie biczyskiem, zachęcając szkapy do biegu, ale było to naprózno. Cały wehikuł mimo wykrzykników i groźnej mimiki woźnicy, posuwał się jednostajnym, żółwim krokiem, co chwila zanurzał się w kałabaniach, wtenczas krzyk się zdwajał, zdawało się, że już tam przepadnie na wieki, ale po chwili wynurzał się znowu, chłop klął i złorzeczył i wykonywał znów dalej owe ćwiczenia ręką, z tą różnicą, że biczysko trzymał cieńszym końcem w dłoni; za woźnicą leżała w sianie spętana świnia, zdradzając swą obecność przeraźliwym kwikiem, za świnią siedziała młoda kobieta, okutana grubym kożuchem i chustką, a w tyle, pozostawiając całe siedzenie płci pięknej, oparty o półdrabek, przyczepił się napół stojąc, wpół siedząc młody mężczyzna, w podartym płaszczu wojskowym i niezwykłym stroju na głowie. Miał zgrabny kapelusik myśliwski z lirą cietrzewia i trzeba przyznać, że umiał go nosić z wesołą myśliwską fantazyą, która jak najmniej licowała z obecną sytuacyą i z ponurem otoczeniem.

U nóg jego na samym tyle wozu siedział niewielki pies, niby jamnik, niby gończak wilczej barwy, z jasnymi podżarami, z uciętemi uszyma i ogonem i wpatrywał się uporczywie w twarz i w ręce widocznie swego pana, ten od czasu do czasu sięgał do kieszeni i podawał mu małe kawałeczki chleba, psisko z wielkiem łakomstwem połykał je jak pigułki, patrzył znów w oczy panu i skakaniem na piersi wymuszał nowe dawki. Wreszcie kieszeń widocznie się już wypróżniła, zamiast realnej treści, rozpoczęły się karesy, pan głaskał psiuka po głowie, ten skowyczał z radości, świnka kwiczała, a chłop na przodzie dalej wymyślał swoje szkapy i w tem samem tempie wywijał i kręcił w powietrzu batogiem. Egipskie ciemności zaległy już świat, gdy podróżni nasi wjechali w ulice wioski. Z niektórych okien, przyległych do ulicy chatek, padały strugi światła, rozświecając nieco ten labirynt płotów, mostków, kałuż i bezdennego błota, inaczej i tubylec zabłądziłby mógł w tej jednostajnej gmatwaninie. Od jednej z chat tuż przy drodze, szczególna jasność rozświecała całe otoczenie, świeciło się tam w izbie, świeciło w komorze, hurkotały żarna w wartkim ruchu w sieni, a w przyboku chaty słychać było głuche uderzenia stępora. Tu woźnica zahoukał na konie, ustało mlaskanie błota i wehikuł zatrzymał się. Mężczyzna w kapeluszu z lirą zeskoczył z wozu, to samo uczynił pies, a rzuciwszy woźnicy „Naj wam Hospod Boh zapłatyt, jidte zdorowi“, szybkim krokiem zniknął poza węgłem chaty. Chłop woźnica odprowadził go wzrokiem, potem powiokał na konie, i dalej jazda.

„Taki moja prawda“, odezwał się do kobiety. Taki Tychon powernuwsia, takie łycho ne zahybne, a Bih me, ne zahybne. „Ta de! de!“, powiedziała na to kobieta, ne zahybne! zdorow jak kiń, wusa pidkrutył na pańsku modu, a kapeluch maje koby jakij jednorał“. „A ja, a ja“, wtórował chłop.

I dziwna zgoda zapatrywań nawet w takich drobnostkach panowała między tymi ludźmi, którzy, jak to się zresztą nie trudno domyśleć, tworzyli stadło małżeńskie od niedawna, a obecnie powracali do domu, będącym aż na drugim końcu wsi z podróży poślubnej, ktorej głównym motywem była niestety nieudała sprzedaż owego kwikajły, rozłożonego sybarytycznie pośrodku wozu.

W ten sposób wrócił po 4 latach Tychon Małanczyn do rodzinnej wioski, zastawszy tu nieco zmienione rodzinne stosunki.

Przed dwoma laty matka jego wyszła za znanego z liczykrupstwa bogacza, który w ten sposób w zamian za miano „bohaczki“, które spadło na Małankę, powiększył znakomicie swój inwentarz roboczy. Przez długi czas Małanka przyjmowała dość chłodno zaloty starego wdowca, ale gdy zimniejsza nastała pora, a podstępny bogacz w dowód swej czułej miłości przywiózł jej z miasteczka nowiuteńki kożuch i kraciastą wełnianą chustkę, prysły lody, no i wkrótce przyszło małżeństwo do skutku. Z po-

czątku było wszystko dobrze, Małanka była nawet przedmiotem zazdrości, tembardziej, gdy się ukazała w cerkwi z całą pompą swego bogactwa, w koralach jak indyk, które jej ofiarował czuły małżonek jako pamiątkę po swej „nebiszce“.

Pracowita z natury kobieta zabrała się ochoczo do gospodarstwa, lecz czem więcej ona pracowała, tem obrzydliwszym skąpcem stawał się jej małżonek, żonę i swe dzieci, których było coś pół tuzina, uważał za swych niewolników, przez cały dzień naganiał do pracy, świecił do późna, wstawał po północy, budził do żarn, do stępy, do kądzieli tak, że ludziska przechodząc nieraz nocą pod obejście bogacza, w którem rzadko kiedy światła gasły, utyskiwali nad losem tych biednych domowników i złorzeczyli bogaczowi, któremu „ditko i po noczy spokoju ne daje“.

Wreszcie pozamykał wszystko, przywiesił okrom zamka jeszcze kłódkę do komory, wziął klucze za pas, kożuch, chustkę i korale żony zamknął do „skryni“, jadło wydawał sam na najskąpszą miarkę, a preciosa żony wyciągał li tylko od wielkiego święta, kiedy razem mieli się w cerkwi pokazać. Powrót Tychona sprawił mu przykrą niespodziankę: „Ta ja kazał, że jeho wże Turki zjiły, a ohyda taki powernuwsia“, mawiał często, nie ukrywając wcale swych uczuć. Taki Tychon, o którego zdolnościach specyalnych wiedział bardzo dobrze, był dla tego liczykrupy istną zmorą, na którego zawsze z ukosa spoglądał. Wśród wołów, koni i osłów roboczych, które za lichą strawę pracowały na kabzę bogacza, Tychon był istną żebrą, kwaggą, czemś co urąga wszelkim zamachom na swą wolność i w ostateczym razie ginie, żegnając świat hymnem wolności. Tak tragiczno romantyczny koniec nie spotkał Tychona Nie mając innego przytułku, musiał jakiś czas znosić czyśćcowe męki w domu swego ojczyma, ale to trwało niedługo, bo rozpatrzywszy się w zmienionych stosunkach, potrafił sobie wnet uścielić własne gniazdo. Przystał już w „miasnyci“ na grunt, stanowiący już od dawna great attraction młodzieży wiejskiej, a zarazem wiano dawno już osierociałej, dziś już pełnoletniej Ołenki. Dziewczę to z całem swem usposobieniem stanowiło rażący wyjątek ogólnej modły. Inne jej rówieśniczki powychodziły już dawno za mąż, oddając się ślepo swemu losowi, którym kierowała zimna kombinacya starszych, nie licząc się z misteryami serca ludzkiego, które i u tych jeszcze bardzo prymitywnych ludzi, bądź rozjaśnić bądź zaciemnić mogą przyszłość doczesnego stadła. Ołenka inaczej myślała; nie miały do niej przystępu namowy i zachęty i najrozmaitszymi wykrętami potrafiła się uwolnić od niezliczonych swatów. Co prawda opiekun jej niewielką w tym kierunku wywoływał presję, owszem potwierdzał nawet jej lakoniczną krytykę konkurentów. I tak: jeden był „za staryj“, drugi „brydki“, trzeci „ne gospodar“, czwarty „pijak“ itd. Każdy miał jakąś przywarę w porównaniu do ideału, jakim był dawny towarzysz zabaw dziecinnych, któremu tak brzydką nazwę na chrzcie nadano. Byłoż to tak powszechnie dziś zgwałcone prawo doboru? Mniejsza o nazwę, ale tak było. Jakiś silny magnetyzm serc drgał tam w prądzie nieprzerwanym i gdy Tychon stojąc nieraz wśród skał bośniackich na posterunku, przesuwał w pamięci po niezliczone razy obraz swej ukochanej, dziewczyna z niezłomną wiarą, nie słuchając strasznych wieści, wyczekiwała jego powrotu. No i doczekała się upragnionej chwili, a gdy przyszli swaty z wódką od Tychona, nie zważała na rady swego opiekuna, który uważał za „hańbu, aby bohaczewa doczka wychodyła za bajst...“ i przepijając do swatów śmiałem „pidu“, zadecydowała o swej przyszłości.

Tychon zostawszy gospodarzem na gruncie 12-to morgowym, nie przestał być myśliwym i rybakiem, a gospodarstwo uważał za zajęcie podrzędne, którego i baba dopilnować może, zwłaszcza, że trzymał sobie dobrego „najmyta“, człeka już starszego i doświadczonego, na którego zdać się było można. „Na szczo mini toho pantrowaty, koły ja maju swoj tałan“, mawiał często, mając i tak dosyć zajęcia przez rok cały, a osobliwie w początkach, gdzie trzeba było samemu stworzyć sobie, acz niewybredny, ale zawsze nader obfity park przyborów myśliwskich i rybackich. Psiuk, którego sobie przywiózł i którego traktowano niby członka rodziny, przewyższał o wiele ideały, do jakich dążą Niemcy, chcąc koniecznie stworzyć psa, odpowiadającego wszelkim wymaganiom myśliwego. Był to w całem tego słowa znaczeniu Universal-hund, a w szczególności wielki mistrz w tropieniu kun, tchórzy i wyder.

Gdy się tacy dwaj mistrze zespolili w jednym celu, na pohybel było tej drapieżnej zgrai, której łupież bardzo dobrze ówcześnie płaciła. Tychon już z dawna mógł mieć uzasadnioną pretensyę do nazwy mistrza w tem łowiectwie, a dziś po latach, po przebyciu nowych praktyk w dalekich krajach, zbogacił się jeszcze doświadczeniem i potrafił złote jego nauki zastosować w domu. Jak to prawdziwie utrzymywał jego kamrat wojskowy, Tychona „spodobał“ sobie jakiś wielki pan i przyjął go do służby. Zadaniem służbowem Tychona było tępienie drapieżców w ogromnych rewirach pana gdzieś w Styryi, czy Karyntyi. Widocznie jednak Tychon nie pojmował zbyt ściśle zakresu swych obowiązków, bo niebawem weszły skargi do zarządu lasów, w których operował Tychon z sąsiednich rewirów, miał się znaleść jakiś corpus delicti jego winy, tak, że pan uwolnił go z dalszej służby. Wszystko to były jednak tylko pogłoski, pozbawione realnej podstawy, a jedynie tylko na serjo dawały do myślenia własne słowa Tychona, z któremi się często wynurzał: „Ot dobre meni buło, zwira buło dosyt', a czerez durnoho zajacia szczaście mene mynuło“. Li tylko domyślać się było można, jaką to tragiczną rolę odegrał ten „zając“ w karyerze Tychona. Wrócił on prędzej, jakby to być powinno, z tak intratnej posady, gdzie poznano się na jego artyźmie i płacono zań „wełyki hroszi“. Czy nie grała w tem rolę pamięć o Ołenie, czy nie trapiła tęsknota za rodzinną wioską? O tem Tychon nie wspominał, z „wełykich hroszy“ żadnego nie zostało śladu, a kapelusz z lirą cietrzewia schował gdzieś na dno skrzyni na prośbę Ołeny, która patrzeć nie mogła na ten strój dziwaczny. „Ot ne chodyłbyś jak jakij farmazon“; a tych kilka słów wystarczyło, aby Tychon fantastyczny swój kapelusik zamienił na hyperborejską ciężką czapicę baranią, która swoją drogą bardziej stylową była do reszty jego ubrania.

Głębokie zapadły śniegi. Luty był lutym w całem tego słowa znaczeniu, pomimo, że słońce pod wysokim łukiem krążyło po niebie, mróz ani na chwilę nie puszczał, a w puchowych proszkach śniegu znaczył się głęboko ślad zwierza Nastały dla Tychona czasy żniwa, wdzięczne pole dla łowów kun, których łupież z każdym dniem stawała się piękniejszą. Wśród rodzinnej wioski policzył on już dawno swój zwierzostan i pozostawił łowy na gorsze czasy, gdy drogi się zepsują i gdy nie będzie tak łatwą rzeczą odbywać wycieczek w dalsze rewiry,

Teraz trzeba było korzystać z czasu i postarać się o łup ze stron dalszych.

Ledwo szarzało na świecie, gdy Tychon wsiadał na podwórzu do małych saneczek zaprzężonych jednym konikiem. Chłop zakopał nogi w słomę, położył koło siebie rodzaj małego oszczepu na krótkim drążku, zawołał psa, który wyskoczywszy z sieni wgramolił się na sanki, i okręciwszy się w słomie u nóg swego pana ułożył się w kółko w wydeptanem posłaniu. Ołena wyniosła sporo wyładowaną „kałetę“ i gdy chłop już bicz podnosił, upchała ją w słomę w tyle sanek. Ta sama historya powtarzała się prawie co dzień; brzask wypędzał Tychona z chaty, a późnym wieczorem wracał z łupem; było źle, gdy przynajmniej dwóch kun nie przywiózł do domu. Rewiry, w których w swój oryginalny sposób urządzał łowy, najmował za gotówkę lub za wódkę, sprawdziwszy poprzednio zwierzostan na tropie. Szybkim kłusem przejeżdżał łąki i pola przedzielające wsi, gdy jednak wjechał w ulice wsi, wlókł się stępo, spoglądając bystro na płoty, dachy chat, szop i stodół. Często dostrzegłszy coś ciekawego złaził ze sanek, a przywiązawszy konika do płotu, obchodził uważnie obejście. Gdy zwierza już skonstatował i gdy go nie uprzedził gospodarz obejścia, co zazwyczaj miało miejsce, wchodził do chaty w celu ułożenia najmu polowania. Gospodarz najczęściej nie stawiał zbyt wielkich trudności i ugoda przy bardzo żywym współudziale kobiet, które zawsze na stronę Tychona sprawę przechylały, przychodziła do skutku. Za 50 ct. — 1 zł. od sztuki, lub za 2 kwarty — 1 garnca wódki pozwalał gospodarz na łowy, z obowiązkiem dostarczenia wszelkiej pomocy swych domowników w razie potrzeby. Przed ostateczną decyzją co do ceny Tychon zazwyczaj wychodził raz jeszcze, podglądał świeże tropy, mierzył biczyskiem, układał kombinacye, wreszcie wracał do chaty i po pewnych przedstawieniach, całkiem zresztą słusznych przybijano interes i rozpoczynały się łowy. Tychon zrzucił ciężki kożuch, podjechał z sankami pod szopę, rzucił garść siana koniowi, a ująwszy oszczepek w ręce, wiódł psiuka na trop świeży. Psisko wpadłszy na trop szedł za nim całkiem wolno, a straciwszy go, gdy kuna widocznie na jakiś przedmiot wyższy wskoczyła jął obiegać zabudowania gospodarskie w galopie, ale trwało to niedługo, wnet wracał na miejsce, gdzie trop się tracił i spoglądał wokoło. Było to najczęściej pod stodołą, gdzie jeszcze niezmłócone leżało zboże lub słoma, jeszcze raz odsuwał się niecierpliwy i radosny skowyt psa, a było to nieochybnym znakiem, że pies zwietrzył już kunę, spoczywającą gdzieś w zbożu koło płatwi zrębu. Są to najulubieńsze legowiska kun, a jeżeli tylko w obejściu przebiega świeży trop kuny i jeżeli zwierz nie wyszedł, to labirynt tropów doprowadza najczęściej do stodoły. Miejsce legowiska i sposób budowania stodół w okolicach naddniestrzańskich bądź z chrustu pomiędzy dębowymi słupami, bądź z opałków ułożonych poziomo, pomiędzy którymi liczne i przestronne szpary dozwalały wglądać do wnętrza, podał Tychonowi myśl użycia przy łowach kun owego oszczepka, bez którego się nigdy na łów nie wybierał. Był to właściwie rodzaj rożenka około $1^1/_2$ cm. grub. a 15 cm. dług. osadzonego na zupełnie gładkim drążku dług. około 1 metra za pomocą żelaznego lejka tak, że w połączeniu nie było żadnych kantów mogących stawiać przeszkody w użyciu tego przyrządu. Gdy pies wbiegł do stodoły, częstokroć trzeba go było wysadzać po drabinie na wierzch złożonego zboża, w innych razach wdrapywał się sam, gdy kupa miała schodowe ustępy. Będąc już na górze tuż przy płatwi, do której ani zboże ani słoma nigdy szczelnie nie przylega wskutek osiadania tych materyałów po złożeniu, psisko wnet odnajdował legowisko kuny, jednak wyruszenie zwierza trwało nieraz bardzo długo, osobliwie, gdy w zbożu znajdowały się prostopadle spadające nory, z wylotem u dołu lub z boku. W takim razie pies zaznaczywszy szczekaniem obecność zwierza i borykając się napróżno w ciasnocie zmuszał do ręcznej pomocy. Zboże czy słoma musiały być nieraz aż do spodu poruszone, aby wyparować ukrytą tam kunę, co gdy nastąpiło, zwinny i szybki zwierz li tylko bardzo wyjątkowo dał się psu pochwycić, w rogach zaś wymykał się niespostrzeżenie i krył się na swoją zgubę w szczelinach pomiędzy zbożem a ścianami stodoły. Zwyczaj ten kuny wyparowanej ze swego legowiska dawał dopiero sposobność użycia opisanego oszczepka. Naturalnie, że niepodobna było przewidzieć, po której stronie stodoły przesuwający się zwierz oczom się okaże, aby znów skryć się głęboko lub ujść jakąś dziurą na zewnątrz, to też konieczną było tu rzeczą obstawienie stodoły, aby oszczepnik mógł korzystać z każdej nadającej się sposobności, i wymierzyć cios morderczy, co w danych warunkach wymagało niepospolitej zręczności. O pomocników nie było trudno, bo gdy tylko rozeszła się wieść w okolicznych sadybach o pobyciu Tychona z psem wnet się gromadziły na ochotnika rozmaitego wieku dzieci, obstawiały stodołę i przeraźliwym wrzaskiem dawały wyraz swym spostrzeżeniom. W ten sposób żadna ponoś kuna nie wymknęła się z zasadzki, na krzyk podbiegał Tychon z oszczepkiem i mając już na oku prześlizgającego się zwierza, z krwią najzimniejszą wyczekiwał chwili najdogodniejszej do użycia broni. Wreszcie, czy to między szczeliny ściany chrustowej, czy też w przestronną szparę pomiędzy dylami uderzywszy oszczepem, tak, że broń nieraz na połowę swej długości się schowała, kończył łowy. Zdarzało się, ale to bardzo rzadko, że cios chybił celu, żelazo ześliznęło się po wałkowatym ciele kuny i jałowy pocisk ugrzązł głęboko, wtenczas Tychon unosił się gniewem, a nie przypisując zgoła nic nieszczęśliwemu zbiegowi okoliczności, złorzeczył jakiejś babie, która go przeszła z próżną konewką, albo wymyślał sąsiadowi, który nie mając nic lepszego do powiedzenia, krzyczał do przejeżdżającego: „Daj Boże szczastie“. Nie liczyłem wprawdzie kun, które się każdego sezonu dostawały w zdobyczy Tychonowi, naród jednak cuda opowiadał o tych łowach i w setkach wyrażał ilość kun wyłowionych, a włóczące się żydki pozostawali z Tychonem w ciągłych transakcyach skórkowych.

Już u schyłku sezonu, gdy pole się popsuło i Tychon zaniechawszy dalszych wycieczek wśród sadyb rodzinnej wioski poczuł tropić kuny, mściwość sąsiada urządziła zamach, którego ofiarą paść miał psiuk Tychona.

Po sprawdzeniu kuny po jej tropie i po porozumieniu się co do ceny, którą w tym wypadku sąsiad wygórował podobnoś aż na „piłtora garnca horiłki“, odgrażając się, że inaczej nie pozwoli na buszowanie w swej szopie, ujęta kuna rozczarowała Tychona. Był to ogromny, bo 20" bez ogona mierzący samiec, który jednak nie wiedzieć z jakiej przyczyny nie nosił sukienki zimowej, ale nikły włos letni, a oprócz tego na grzbiecie rozsiały się w skórze jątrzące krosty. Oczywiście łupież taka była bez żadnej wartości, a jedynie tylko ogon dał się użyć

na obramowanie „sztramla“ jakiego bardzo już biednego żydka wiejskiego. Wielki żal ogarnął serce Tychona, począł z sąsiadem traktować o zniżenie haraczu, ale ten uśmiechał się tylko złośliwie i ani myślał o ustępstwie. Już ofiarował Tychon garniec wódki, ale to nie pomogło, sąsiad był głazem. Doprowadziło to do gwałtownej wymiany słów, nawet pięście już się podniosły, wreszcie Tychon rzuciwszy kunę pod próg sąsiadowi, krzyknął: „Otoż ne dam nycz, pozywaj mene jak choczesz, ne dam, bo nema za szczo“, „Poczkaj, poczkaj“ wołał do oddalającego się Tychona z największą flegmą sąsiad: „ja tebe pozywaty ne budu, ałe wyrychtuju, szczo popamiatajesz“.

No, i miał zamiary nie lada. W trzy dni po tem zajściu gdy Tychon do świta wyszedł z chaty, psiuk jego zajęty był grzebaniem dziury tuż pod „przyspą“, gdzie ziemia już była na odsłoniu odtajała, obok dziury leżał jakiś przedmiot barwy brunatnej, jakby przypalony. Pies uchwycił go ukończywszy robotę, wrzucił do dziury i jął ją zaszportywać i zarównywać tylnemi nogami. Ale Tychon nie dał mu dokończyć roboty, gromkim „pokień“ odpędził psiuka i wydobył zagadkowy przedmiot z dziury. Była to w smalcu usmażona gąbka. Kto ją podrzucił i w jakich zamiarach nie trudno się było domyślić, lecz niepodobną rzeczą sprawdzić, to też trzymając w ręce gąbkę, spojrzał Tychon strasznym wzrokiem w stronę chaty sąsiada, niby skry zaświeciły oczy pod długiemi rzęsami, wybełkotał jakieś niezrozumiałe zaklęcie i wszedłszy do chaty rzucił w ogień gąbkę.

Nie miałem sposobności sprawdzić czyli gąbka w tłuszczu usmażona jest w samej rzeczy dla psa trucizną, wiara ludu przypisuje jej trujące własności, jednak nie o to tu chodzi, bo psiuk Tychona nie poszedłby na żaden przysmak, choćby jaką trutką zaprawiony i przyjmował pokarmy li tylko z rąk swego gospodarstwa i to z prawej ręki. Był to prawdziwie tryumfalny okaz układu, owoc długiej i cierpliwej pracy myśliwego *sui generis*, który znając i przewidując stosunki musiał w ten sposób zabezpieczyć drogocenne zwierzę od szwanku.

Tak to rozbiły się w niwec szatańskie machinacye mściwego sąsiada, który jednak długi czas nie mógł zapomnieć wyrządzonej mu „krywdy“.

Gdyby nie bliskie sąsiedztwo, byłby może nie dał za wygraną, byłby przecież pomścił utratę kartoflanego nektaru, ale płot przy płocie, strzecha przyczepiona do strzechy oziębiły furyę zemsty, a gdy w dodatku z wiosną zachorowała mu krowa „na krou“, przeciwko czemu Tychon jedynie znał pewne arkana, przyszedł wreszcie do przekonania, że „z susidem treba dobre żyty“ i podał pierwszy rękę do zgody. No i nastąpiła zgoda, gdy upokorzony sąsiad postawił „garnec horyłki na stole“ błagając o ratunek, bo „jaływka na nohy nasiahaje“. Operacya i leki wywarły cudowny skutek, bo jałówka „poddużała“ i już na drugi dzień poszła się paść „z czeredą“. Odtąd zapanowały niemal serdeczne stosunki pomiędzy sąsiadami, a ten sam chłop, który niedawno gotów był wzywać wszystkie potęgi piekielne na głowę Tychona, występuje jako pośrednik do zgody w sprawach podobnych, gdy Tychon w swym rzemiośle chce korzystać z prawa pokrzywdzenia ponad połowę wartości. Flegmatycznie i z miną tajemniczą w stosownej chwili wypowiedziane zdanie sąsiada skłania do ustępstw: „Ne zaczipaj! to mysływec, win wsio znaje, jemu i dit'ko niczoho ne zrobyt.“



# Niedźwiedź swatem.

(Dokończenie).

— Ukochana ty moja!

— I uścisk, jak wieczność długi, połączył młode serca, zważone w zaraniu życia jednym z tych bólów, które łamią je nieraz na zawsze.

Długo jeszcze młodzi ludzie szeptali ze sobą, snując przeróżne projekty, lecz żadną miarą nie mogli odnaleść lekarstwa na swe cierpienia. Pan Wojciech znany był ze swego uporu i co raz postanowił, nie zmieniał nigdy.

Do słabych stron p. Wojciecha należało polowanie na grubego zwierza.

Ze strzelbą w ręku, wśród kniei, grania ogarów i trąbek myśliwskich, zmieniał się do niepoznania.

Dzielny myśliwy i dobry strzelec uchodził w jego oczach za ideał mężczyzny. Takiemu gotów był wszystko przebaczyć, bodajby grzech śmiertelny; był jego najserdeczniejszym przyjacielem i zwolennikiem.

Nazajutrz po niefortunnych oświadczynach Władysława, dla pana Wojciecha i grona jego przyjaciół przypadała uroczystość wielka.

Strzelcy okrążyli w mateczniku niedźwiedzia, rzadką sztukę, który już od paru tygodni uchodził im bezkarnie w tajniki puszczy, niedostępne dla człowieka.

Któż zbadał litewskich puszcz tajniki, owe oczerety, pełne zaklętych tajemnic, do których przez gęste drzew korony nawet światło słoneczne przedrzeć się nie może.

Tam wśród powalin odwiecznych dębów i stuletnich sosen, wśród powodzi mchów i porostów leśnych obrał sobie siedlisko król borów litewskich, puszysty niedźwiedź, chroniąc się przed prześladowaniem człowieka.

Tam w miękkiem legowisku układa się on do snu zimowego spokojny i bezpieczny, groźnym pomrukiem budząc echa leśne, gdy jaki śmiałek spoczynek jego zakłócić się odważy.

Ranek jesienny, choć chłodny, zapowiadał wspaniałą pogodę. Słońce wytaczało się na widnokrąg w całym majestacie, złocąc wspaniale wierzchołki drzew i ogołocone już ze zbóż niwy, pożółkłem ścierniskiem pokryte. W domku Dowrata od samego świtu już ruch panował. Czyszczono i przygotowywano broń, karmiono psy; myśliwi zjeżdżali się do dworku z poważnemi minami, gwa-

rząc z cicha, bo polowanie na niedźwiedzia, to nie żarty. Umie on wystrzegać się zasadzek, a napadnięty broni się walecznie. Nareszcie po rannej polewce ruszono do boru, pod komendą starego wygi, rezydenta Dowrata p. Bartłomieja Żejtunisa, Żmudzina, oddawna gospodarującego po puszczach nadniemeńskich, niby we własnym domu. Znał je też jak własną kieszeń i nikt lepiej polowania poprowadzić nie umiał, zwłaszcza na grubszego zwierza.

Do południa polowano z rozmaitym szczęściem, misia jednak nie ruszono.

Dopiero po śniadaniu, zaledwie rozstawiono linię strzelców i psy spuszczono, rozległ się głuchy pomruk, a następnie ryk niedźwiedzia, któremu towarzyszyły skomlenie psów, granie na rogach i nawoływania dojeżdżaczy. Zanim strzelcy opamiętać się zdołali, z gęstwiny leśnej wyszedł wspaniały niedźwiedź, szarpany przez psy i dobrze już rozjuszony. Pan Wojciech, który stał najbliżej, złożył się doń, lecz broń spaliła mu na panewce. Niedźwiedź stanąwszy na dwóch łapach dał susa i pochwyciwszy strzelbę niefortunnego myśliwca potrzaskał ją w kawały. Pan Wojciech szarpnięty przez zwierza, w chwili, gdy ten wyrwał mu strzelbę, padł na ziemię, a niedźwiedź obwąchiwać go zaczął. Obecni struchleli na ten widok, głowa nieszczęśliwego znajdowała się na jednej linii ze łbem niedźwiedzia, każda sekunda była drogą, a strzał niepewny, bo nader łatwo zamiast zwierza można było ugodzić jego ofiarę. W tej strasznej chwili, gdy najlepsi z myśliwych potracili głowy, jeden tylko Władysław poskoczył i nie wahając się ani chwili, wypalił ze swej dwururki. Strzał był mistrzowski, kula przeszyła głowę misia prawie na wylot i spowodowała śmierć natychmiastową.

Pan Wojciech był ocalony. — Skoro mu opowiedziano komu życie zawdzięcza, pochwycił młodzieńca w objęcia i serdecznie go ucałował.

— Lecz co sąsiadowi miś tak szeptał do ucha — zapytał jeden z myśliwych, gdy przeszły pierwsze wybuchy radości i wszyscy ochłonęli z przerażenia.

— Żem popełnił wielką niesprawiedliwość wobec tego młodzieńca, odmawiając mu ręki dzierlatki mojej.

— Na poprawę zawsze dość czasu.

— Chętnie też przyjmuje go za zięcia, ale pierwej niech szlify zdobędzie. Dowratówna może być tylko żoną żołnierza lub rolnika.

Władysław przeszedł za kordon, stanął w szeregach księcia Józefa, który wiodąc pułki z jednego pola bitwy na drugie, nie dał mu zbyt długo czekać na upragnione szlify.

Gdy zaś w lat parę potem, po przejściu zawieruchy wojennej, młody rotmistrz ułanów stanął na kobiercu ślubnym z ukochaną Jadwinią Dowratówną, stary pan Bartłomiej Żejtunis, witając młodą parę na progu domu, uśmiechał się z pod wąsa.

On to bowiem z za drzewa wypalił do niedźwiedzia w owej fatalnej chwili i jego to kula ocaliła p. Wojciecha. Że zaś strzał starego myśliwca zlał się w jeden odgłos ze strzałem Władysława, stary widząc jaki obrót przyjmują rzeczy milczał, bo kochał serdecznie oboje młodych.



# Polowanie na niedźwiedzia.

**Ustęp z „KRZYŻAKÓW" Sienkiewicza.**

Zbyszko*) wybrał się, jak już zapowiedział, na niedźwiedzia, gdyż Maćko czuł się znacznie gorzej i potrzebował sadła niedźwiedziego. Z początku podtrzymywała go radość i pierwsze domowe zajęcia, lecz trzeciego dnia wróciła mu gorączka i ból w boku ozwał mu się z taką siłą, iż musiał się położyć. Zbyszko poszedł naprzód w dzień, obejrzał barci, zobaczył, że jest blizko ogromny ślad na błocie — i rozmówił się z bartnikiem Wawrkiem, który nocami sypiał w pobliżu w szałasie, razem z parą srogich, podhalskich kundli, ale właśnie miał się już wynieść do wsi z powodu chłodów jesiennych.

Obaj rozrzucili szałas, zabrali psów, tu i ówdzie rozsmarowali trochę miodu po pniach, by zapach znęcił zwierza, zaczem Zbyszko wrócił do domu i począł się gotować na wyprawę. Ubrał się dla ciepła w kubrak łosi, bez rękawów; na ciemię nadział żelazny czepiec z drutu, aby niedźwiedź nie mógł mu obedrzeć skóry z głowy, wreszcie wziął widły dobrze okute, dwuzębne, z zadziorami i topór stalowy, szeroki, na dębowem toporzysku nie tak krótkiem, jakich zażywają cieśle. O wieczornym udoju był już u celu i wybrawszy sobie dogodne miejsce, przeżegnał się, zasiadł i czekał.

Czerwone promienie zachodzącego słońca świeciły między gałęziami chojarów. Po wierzchołkach sosen tłukły się wrony, kracząc i łopocąc skrzydłami; gdzieniegdzie kicały ku wodzie zające, czyniąc szelest po żółciejących jagodziskach i po opadłych liściach; czasem śmignęła po buczku chybka kuna. W gąszczach odzywał się jeszcze świergot ptaków, który stopniowo ustawał.

O samym zachodzie nie było w boru spokoju. Przeszło niebawem koło Zbyszka stadko dzików z wielkim hałasem i fukaniem, a potem kłusowały łosie, długim rzędem, trzymając jeden drugiemu łeb na ogonie. Suche gałęzie trzeszczały im pod racicami i las aż dudnił, one atoli, połyskując czerwono w słońcu, dążyły do błota, gdzie im było nocą bezpiecznie i błogo. Nareszcie zorze rozpaliły się na niebie, od których wierzchołki sosen zdawały się płonąć, jak w ogniu, i zwolna jęło się wszystko uspokajać. Bór szedł spać. Mrok wstawał od ziemi i podnosił się w górę ku świetlistym zorzom, które też w końcu poczęły omdlewać, zasępiać się, czernieć i gasnąć.

*) Podajemy ten ustęp ze znakomitej powieści Sienkiewicza „Krzyżacy". barwnie przedstawiający spotkanie się bohatera powieści Zbyszka z niedźwiedziem i pomoc, jaką mu dała córka Zycha, przyjaciela stryja Zbyszka Maćka z Bogdańca Jagienka.

— Teraz, póki się wilki nie odezwą, to będzie cicho, — pomyślał Zbyszko.

Żałował jednak, że nie wziął kuszy, mógłby był bowiem z łatwością położyć dzika lub łosia Tymczasem od strony błota dochodziły jeszcze czas jakiś przytłumione odgłosy, podobne do ciężkiego stękania i poświstywania. Zbyszko spoglądał ku temu błotu z pewną nieufnością, albowiem chłop Radzik, który mieszkał tu niegdyś w ziemnej chacie, znikł razem z rodziną, jakby się pod ziemię zapadł. Jedni mówili, że porwali ich zbóje, byli wszelako ludzie, którzy widzieli później wedle chaty jakieś dziwne ślady, ni to ludzkie, ni zwierzęce — i którzy bardzo kręcili nad tem głowami, a nawet namyślali się, czyby nie sprowadzić księdza z Krześni, aby tę chałupę poświęcił. Nie przyszło wprawdzie do tego, bo nie znalazł się nikt, któryby chciał tu zamieszkać, i chatę, a raczej glinę na chróścianych ścianach rozpłókały z czasem dżdże — miejsce jednakże nie używało odtąd dobrej sławy. Nie uważał wprawdzie na to Wawrek, bartnik, który tu nocowywał latem w szałasie, ale i o tym Wawrku różnie mówiono. Zbyszko, mając widły i topór, nie obawiał się dzikich zwierząt — myślał natomiast z pewnym niepokojem o siłach nieczystych i rad też był, gdy owe gwary wreszcie umilkły.

Ostatnie blaski znikły, i uczyniła się noc zupełna. Wiatr ustał, nie było nawet zwykłego szumu w wierzchołkach sosen. Kiedy niekiedy spadała tu i ówdzie szyszka, wydając na tle ogólnego milczenia odgłos mocny i donośny, ale zresztą było tak cicho, że Zbyszko słyszał własny oddech.

W ten sposób przesiedział długi czas zadumany.

Nagle ocknął się, gdyż zdala za nim ozwał się jakiś szelest.

Wówczas ścisnął mocniej widły w garściach, nadstawił uszu i począł słuchać.

Szelest zbliżał się i po niejakim czasie stał się całkiem wyraźny. Chrupały pod czyjąś ostrożną stopą suche gałązki, szurały opadłe liście i jagodziska.. Coś szło.

Chwilami szelest ustawał, jakgdyby zwierz zatrzymywał się przy drzewach, i wówczas robiła się taka cisza, że Zbyszkowi poczynało aż w uszach dzwonić — poczem znów odzywały się kroki wolne i przezorne. W ogóle było w tem zbliżaniu się coś tak ostrożnego, że Zbyszka ogarnęło zdziwienie.

Musi się „Stary“ psów bać, które tu były przy szałasie, — rzekł sobie; — ale może to i wilk, który mnie zwietrzył.

Tymczasem kroki ucichły. Zbyszko jednakże słyszał wyraźnie, że coś zatrzymało się może o dwadzieścia albo trzydzieści kroków za nim — i jakby przysiadło. Obejrzał się raz i drugi — ale, lubo pnie rysowały się w zmroku dość wyraźnie, nie mógł nic dojrzeć. Nie było innej rady, tylko czekać.

I czekał tak długo, że aż zdziwienie ogarnęło go po raz wtóry.

— Niedźwiedź nie przyszedłby tu przecie spać pod barcią, a wilk byłby mnie już zawietrzył i teżby nie czekał do rana.

I nagle mrowie przeszło go od stóp do głowy.

A nuż to co „paskudnego“ wylazło z błota i zachodzi mu z tyłu? Nuż niespodzianie chwycą go jakie oślizgłe ramiona topielca, albo zajrzą mu w twarz zielone oczy upiora, nuż się coś roześmieje okropnie tuż za nim, albo z za sosny wylezie sina głowa na pajęczych nogach?

I uczuł, że pod żelaznym czepcem włosy poczynają mu się jeżyć.

Lecz po chwili szelest odezwał się przed nim — i tym razem wyraźniejszy jeszcze, niż poprzednio. Zbyszko odetchnął. Przypuszczał wprawdzie, że to to samo „dziwo“ obeszło go, a teraz zbliża się z przodu. Ale to wolał. Chwycił wygodnie widły, podniósł cicho i czekał.

Wtem nad głową usłyszał szum sosen, na twarzy uczuł silny powiew, ciągnący od strony błota, a jednocześnie do jego nozdrzy doleciał swąd niedźwiedzi.

Nie było teraz najmniejszej wątpliwości: szedł myś!

Zbyszko jednej chwili przestał się bać, i pochyliwszy głowę, wytężył wzrok i słuch. Kroki zbliżały się ciężkie, wyraźne, swąd czynił się ostrzejszy; wkrótce dało się słyszeć sapanie i pomruk.

— Byle nie szło dwóch! pomyślał Zbyszko.

Ale w tej chwili zobaczył przed sobą wielki i ciemny kształt zwierzęcia, które idąc z wiatrem, do ostatniej chwili nie mogło zwietrzyć, tembardziej, że zajmował je zapach rozsmarowanego po pniach miodu.

— Bywaj dziadku! — zawołał Zbyszko, wysuwając się z pod sosny.

Niedźwiedź ryknął krótko, jakby przerażony niespodzianym zjawiskiem, lecz był już zbyt blisko, aby mógł ratować się ucieczką, więc w jednej chwili podniósł się na zadnie łapy, rozwarłszy przednie, jak do uścisku. Tego właśnie czekał Zbyszko: zebrał się w sobie, skoczył jak błyskawica i całą siłą potężnych ramion, oraz własnego ciężaru, wbił widły w piersi zwierza.

Cały bór zatrząsł się teraz od przeraźliwego ryku. Niedźwiedź chwycił łapami widły, pragnąc je wyrwać, ale zadziory przy ostrzach wstrzymały, więc poczuwszy ból, zagrzmiał jeszcze straszliwiej. Chcąc dosięgnąć Zbyszka, wsparł się na widłach i wbił je w siebie mocniej. Zbyszko, nie wiedząc, czy ostrza weszły dość głęboko, nie puszczał rękojeści. Człowiek i zwierz poczęli się szarpać i szamotać Bór trząsł się wciąż od ryku, w którym brzmiała wściekłość i rozpacz.

Zbyszko nie mógł się jąć topora, nie wbiwszy poprzednio drugiego, zaostrzonego końca wideł w ziemię, niedźwiedź zaś, chwyciwszy za osadę łapami, miotał nią i Zbyszkiem jakby rozumiejąc, o co chodzi — i mimo bólu, który sprawiało mu każde poruszenie utkwionych głęboko ostrzy, nie dając się „podeprzeć“. W ten sposób straszna walka przedłużała się — i Zbyszko zrozumiał, że siły jego wkońcu wyczerpią się. Mógł także upaść, a wówczas byłby zginął, więc zebrał się w sobie, wytężył ramiona, rozstawił nogi, wygiął grzbiet, jak łuk, by się nie przewrócić na wznak i w uniesieniu począł powtarzać przez zaciśnięte zęby:

— Moja śmierć, albo twoja!...

I chwycił go wreszcie taki gniew, taka zawziętość, że istotnie wolałby był w tej chwili sam zginąć, niż bestyę puścić. Wreszcie zawadziwszy nogą o korzeń sosny, zachwiał się i byłby padł, gdyby nie to, że w tej chwili stanęła przy nim jakaś ciemna postać — i drugie widły „podparły“ bestyę, a jednocześnie głos jakiś zawołał mu nagle tuż nad uchem:

Toporem!...

Zbyszko, w uniesieniu walki ani na jedno mgnienie oka nie zastanowił się, skąd mu niespodziewana pomoc nadeszła, natomiast chwycił topór i ciął strasznie. Trzasnęły teraz widły złamane ciężarem i ostatnią konwulsyą zwierza — ów zaś zwalił się jakby piorunem rażony na

ziemię i począł na niej chrapać. Lecz zaraz ustał. Nastała cisza, przerywana tylko głośnym oddechem Zbyszka, który wsparł się o sosnę, gdyż nogi chwiały się pod nim. Po chwili dopiero, podniósł głowę, spojrzał na stojącą obok siebie postać — i przeląkł się, myśląc, że to może nie człowiek.

— Ktoś jest? zapytał niespokojnie.

— Jagienka! — odpowiedział cienki niewieści głos.

Zbyszko aż zaniemówił ze ździwienia, oczom własnym nie wierząc. Ale wątpliwości jego nie trwały długo, gdyż głos Jagienki ozwał się znowu:

— Nakrzesam ognia...

Wraz ozwał się szczęk krzesiwa o krzemień, iskry poczęły się sypać, i przy ich migotliwym blasku ujrzał Zbyszko białe czoło, ciemne brwi i wysunięte naprzód usta dziewczyny, które dmuchały w zatloną hubkę. Wówczas dopiero pomyślał, że ona przyszła do tego boru, żeby mu dać pomoc, że bez jej wideł mogłoby być z nim źle — i poczuł tak wielką wdzięczność dla niej, że nie namyślając się długo, chwycił ją wpół i ucałował w oba policzki.

A jej hubka i krzesiwo wypadły na ziemię.

— Daj spokój! Czego? — poczęła powtarzać stłumionym głosem, ale jednocześnie nie usuwała mu twarzy, owszem, ustami dotknęła nawet niby wypadkiem ust Zbyszka.

On zaś puścił ją i rzekł:

— Bóg ci zapłać. Nie wiem, coby się bez ciebie przygodziło.

A Jagienka, kucnąwszy w ciemności, by odnaleźć krzesiwo i hubkę, poczęła się tłumaczyć:

— Bojałam się o ciebie, bo Bezduch poszedł też z widłami i z toporem — i niedźwiedź go ozdarł. Broń czego Boże, Maćkowi byłoby markotno, a on przecie i tak ledwie dycha... No, to i wzięłam widły i poszłam.

— Toś ty zachodziła tam za sosny?

— Ja.

— A ja myślałem, że to „złe“.

— Niemały i mnie strach brał, bo tu koło Radzikowego błota w nocy bez ognia nie dobrze.

— Czemuś się nie obezwała?

— Bom się bała, że mnie odpędzisz.

I to rzekłszy, znów zaczęła krzesać, a następnie położyła na hubkę kłaczek suchych, konopnych paździerzy, które wnet strzeliły jasnym płomieniem.

— Mam dwie szczypki, — rzekła — a ty nazbieraj wartko sucharzy; będzie ogień.

Jakoż po chwili buchnęło rzeczywiście wesołe ognisko, którego blask rozświecił ogromne, rude cielsko niedźwiedzia, leżące w kałuży krwi.

— Hej, sroga stwora! — ozwał się z pewną chełpliwością Zbyszko.

— Ale ci łeb prawie caluśki rozwalony! O Jezu!

To powiedziawszy, schyliła się i zanurzyła rękę w kudły niedźwiedzie, aby przekonać się, czy zwierz dużo ma w sobie sadła, poczem podnlosła się z wesołą twarzą:

— Będzie sadła na jakie dwa roki!

— A widły połamane, patrz!

— To i bieda, bo co ja w domu powiem?

— Albo co?

— Bo tatuś nie byliby mnie wcale do boru puścili, więc musiałam czekać, póki się wszyscy nie pokładą.

Po chwili zaś dodała:

— Nie powiadaj też, żem tu była, żeby nade mną nie cudowali.

— Ale cię pod dom odprowadzę, bo jeszcze wilcy na cię napadną, a wideł nie masz.

— No, — dobrze!

I tak rozmawiali czas jakiś przy wesołym brzasku ogniska, nad trupem niedźwiedzia, podobni oboje do jakichś młodych, leśnych stworzeń.

*Henryk Sienkiewicz.*



# De omnibus rebus et quibusdam aliis.

Liście z drzew spadają, ranki i wieczory już chłodne, smutne są dla wielu te wszystkie poprzedniki zimy, jedynie na serce myśliwego ten smutek całej natury nie działa ujemnie, przeciwnie, nadzieja przyszłej ponowy dodaje otuchy do życia. Zawsze ubolewałem i ubolewam nad tymi, którzy nie są myśliwymi, ileż to im w życiu chwil przyjemnych ubywa. Rozmawiałem kiedyś ze starym myśliwym i pytałem go się dlaczego nie poluje u swego synowca, on ma przecież duży las. „Polowałbym chętnie, odpowiedział mi, cóż kiedy Józio kaleka, on nie myśliwy“. Na Podolu dopiero teraz, a właściwie dopiero ze śniegiem, zaczyna się polowanie. Kuropatw prawie niema, błota wysuszone, przepiórki wyłapują w Sycylii na przelocie, tak, że tylko mała ich cząstka do nas przylatuje, sam widziałem w południowej Sycylii sieci przygotowane nad morzem dla łapania tych biednych ptasząt. Cóż nam więc pozostaje: zając, sarna, lis, dzik i trochę słonek i to krótko. Zające wogóle nie są liczne, gdyż lasów mało, a na szerokim stepie trudno się biednemu szarakowi schronić przed drapieżnikiem, których pełno Sam ze służbą leśną ubijam przy puhaczu przeszło 200 sztuk drapieżników rocznie, lecz mimo tego dużo ich się widzi. Prawda, że jestem prawie jedyny z wyjątkiem Przewłoki pana Ludwika Szawłowskiego i Petlikowiec hr. Korytowskiego, który drapieżnikom wypowiedziałem wojnę; skutki jej są widoczne po wielkiej ilości zajęcy, które u siebie zabijam. Nieraz na polowaniach dużo się mówi o tem, jak trzeba dbać o myśliwstwo, lecz to niestety są tylko pia desideria, które się tylko na dobrych chęciach kończą. Dochodzimy więc do rozumowania starego myśliwego, którego zdanie cytowałem, że dużo jest kaleków, to jest, że nie ma myśliwych. Jeden rodzaj polowania, który dawniej był u nas wielce uprawiany, dziś właściwie stracił racyę bytu, to jest polowanie z chartami. Minął już ten czas, kiedy szlachcic wyruszał z kilkoma sforami chartów i uganiał się za zającami, gdzie mu się tylko po-

dobało. Miało to zapewne swój wielki urok, lecz w dzisiejszych czasach i przy obecnych ustawach o polowaniu, jest to zabawką zupełnie niemożliwą. Naprzód już tych wielkich stepów niema, wszędzie pola uprawne, każda gmina ma swoje polowanie, za które czynsz od dzierżawcy pobiera i ów szlachcic dawnej daty byłby dziś kłusownikiem. Niestety od wielu myśliwych słyszałem, że niejednemu zapalonemu charciarzowi trudno to wytłumaczyć, że zając to rzec prywatna, że nie można go na cudzem polu uszczuć. Dziś tylko ci mogą trzymać charty, którzy mają duże przestrzenie, na których mogą polować, dla mniejszego właściciela jest to zabawka zupełnie niemożliwa, jego charty zaraz przejdą granicę i *ipso facto* staje się on kłusownikiem. Jeżeli jeszcze sam właściciel jest zapalonym charciarzem, to jeszcze pół biedy, ale jeżeli pozwala kucharzowi lub stajennemu z chartami polować, wtedy następuje dla sąsiadów myśliwych prawdziwe utrapienie. Pani domu spodziewa się za dni kilka gości u siebie, potrzeba jej koniecznie zająca, woła stajennego i każe mu jechać z chartami w pole polecając, ażeby koniecznie uszczuł zająca. Ten stajenny wie dobrze, że na polach jego pana zajęcy niema, wszystkie wyłapane, jedzie więc na pole sąsiada i tam tego nakazanego na pieczyste zająca łapie. Co do mnie, szczęściem nie byłem w tym wypadku, ażeby na moich polach cudze charty harcowały, lecz powyższe skargi kilka razy słyszałem.

Podobne postępowanie uważam za kłusownictwo, równie karygodne jak tego chłopa, który w nocy przy księżycu strzela siekańcami do kozy w cudzym lesie. Nieraz bywały wypadki, że takiego charta, co przeszedł granice zastrzelono, skutkiem tego powstawały kwasy, skargi, a nawet pojedynki. Mojem zdaniem zupełnie słusznie charta zabito, gdyż taki chart powinien być uważany za szkodnika. Niejeden powie, że to nie po sąsiedzku, trzeba wtedy poprzednio sąsiada uprzedzić i prosić, żeby swoich chartów poza granicę nie puszczał, lecz jeżeli to nie skutkuje, to nie ma innej rady, jak zastrzelić. Mówią, że trzeba go złapać; proszę cudzego psa na polu złapać, szczególniej, jak on goni zająca. Do jakiego stopnia bywają prawa myśliwskie przestrzegane za granicą, n. p. w Poznańskiem, niech posłuży następujący fakt. Polowałem na kuropatwy, idąc razem z nagonką i tak się zdarzyło, że szedłem na skrzydle i to miedzą. Strzelałem do kuropatw na prawo i na lewo, w tem przybiega do mnie gospodarz przepraszając i prosząc, bym jego miejsce zajął. Pytam dlaczego? „Ta miedza to granica, jak tylko kuropatwa ją przeleci, to już strzelać nie możesz. Jeżeli tu zostaniesz, to tylko na jedną stronę wolno ci strzelać.“ Może to trochę i przesadne, lecz to daje dowód, jak oni dbają o prawa myśliwskie. Na tem kończę moją ramotkę myśliwską, przepraszając panów zapalonych charciarzy, lecz uważam, że w piśmie tak poważnem jak nasz *Łowiec* każdy ma prawo wypowiedzieć swoje zdanie i *verba veritatis.*

*Aleksander hr. Potocki.*

Osowce, 5. Października 1898.



# W OBRONIE LISA.

Zainterpelowany we wrześniowym numerze *Łowca* w korespondencyi Aleksandra hr. Wodzickiego, w sprawie tępienia lisów, oświadczam, iż jako hodowca zwierzyny, w dzisiejszych u nas pojęciach, sprzeciwiaćbym mu się musiał, ale jako zamiłowany myśliwy zupełnie się z jego zapatrywaniami zgadzam. Że lis należy do największych szkodników naszego zwierzostanu, tego zaprzeczyć nie można, i kto dba o chów ptactwa i drobnej zwierzyny w swoich rewirach, ten go za wroga uważać musi i tępić powinien. Ale choćbym się miał odezwać dziś z bardzo niepopularnem zdaniem i może zacofanem w obec wszędzie głoszonych teoryi nowego myśliwstwa, powiem jednak na długoletniem oparty doświadczeniu, że dyabeł nie jest tak czarnym, jak go malują, i że lis powiedzieć może o sobie, jak Marya Stuart: „Ich bin besser als mein Ruf.“ — I tak, trudność w dochowaniu się bogatszego zwierzostanu w niektórych naszych okolicach, przypisywana zazwyczaj wielkiej ilości lisów, wedle mego przekonania inne ma źródło. Klimatyczne katastrofy, kłusownictwo, mnogość innych biegających i latających szkodników, na przesądzie oparta ochrona bocianów, a przedewszystkiem niedbalstwo właścicieli polowań, oto są owe czynniki, przeszkadzające rozmnażaniu się drobnej zwierzyny, a my to tak chętnie, wyłącznie na karb lisów składamy. — Niechże obawa przed lisami nie odstrasza hodowców zwierzyny i niechże nie będzie ciągłą, bardzo ulubioną wymówką zaniedbania tej pożytecznej pracy. Nie zapominajmy, że przy gorliwości w tym kierunku, jakiś procent stanie się wprawdzie pastwą lisów i innych szkodników, ale wiele jeszcze i dla nas pozostanie. Ten rok wyjątkowo sprzyjającym się okazał dla kuropatw; wszędzie słychać o świetnych rezultatach; ptactwo to pojawiło się Bóg wie zkąd, w okolicach w których od kilku lat nie widywano już go wcale. A czyż ilość lisów się zmniejszyła? Bynajmniej! widać, że nasza zima dla wszystkich istot znajdzie przytułek. Każdy kraj ma swoje charakterystyczne łowy; u nas nie ilość, lecz rozmaitość zwierzyny główny stanowi urok. A ten urok musi być wielki, skoro z każdym rokiem, coraz liczniejszy zastęp wysokich i dostojnych łowców przybywa z zagranicy w nasze góry, by naszą strzelać zwierzynę. A ci panowie, gardząc krociami zajęcy, królików, bażantów i kuropatw, które mają w domu, wolą ponosić trudy górskich wypraw, w nadziei spotkania karpackiego jelenia, niedźwiedzia lub rysia, a lis jest dla nich ponętną nadzwyczaj zwierzyną. Nie w ilości, ale w jakości i różności zwierzyny prawdziwy myśliwy szuka rozkoszy. Tego bogactwa ziemi naszej, my jakoś najmniej ocenić umiemy, oddajemy je często w cudze ręce i chcemy naśladować ślepo w myśliwstwie, ościenne kraje, o wiele od naszego uboższe, a które nam naszego, tak niedostatecznie przez nas samych wyzyskiwanego bogactwa, zazdroszczą. Zatarłszy charakter naszych dawnych, rodzimych łowów, nie dościgniemy ilością tego, co na jakości stracimy. Czyż może być wyższy urok dla myśliwego, jak polowanie w naszych podgórskich kniejach, gdzie co chwila innego może

spotkać zwierza. Jak to np. w Lisowicach się wydarza, że ten sam strzelec w jednym dniu strzela do 7 sztuk rozmaitej zwierzyny. A czyż lis, ten wyklęty szkodnik, nie przyczynia się niezmiernie do piękności takiego rozkładu? Czemże są u nas, owe rzezie monotonne samych zajęcy, choćby ich padło kilka setek dziennie, jeśli wieczorem ani jeden lis rozkładu nie ubarwia. Co do mnie, wyznaję, iż z przyjemnością strzelam do zająca, tylko w takiej kniei, w której on jest dość rzadkim i ukazuje się wśród innej rozmaitej zwierzyny. Świetne rezultaty takich łowów, jak np. w Olejowie, Miżyńcu, Krysowicach etc. etc. świadczą, iż obok znacznej ilości lisów, pada tam i znaczna ilość innego zwierza i to jest urokiem najwyższym naszych polskich kniei i największą rozkoszą prawdziwego łowca. Oświadczam więc, iż jako myśliwy, zupełnie podzielam zdanie szanownego autora wrześniowej korespondencyi. Wątpić nie można, iż nieubłagana dłoń cywilizacyi i wzmagająca się kultura, i nasz kraj doprowadzi do stanu, w jakim pod względem myśliwstwa są ościenne nasze kraje. Roić tu się może kiedyś od zajęcy, kuropatw i bażantów, a po nieochybnej wkrótce zagładzie dzików, na wzór żubrów i turów i lisy staną się mytem, a ostatnie ich okazy będą późniejsze pokolenia oglądały po muzeach, w szafach za szkłami. Co do mnie jednak, Panu Bogu dziękuję, że mi pozwolił w innej epoce przeżyć mój zawód myśliwski.

Podkamień, w październiku 1898.

*Leopold hr. Starzeński.*

# KORESPONDENCYE.

Rafajłowa, 6. października 1898.

W pierwszych dniach tego miesiąca i ostatnich dniach września w lasach rządowych w obrębie zarządu Rafajłowa polował arcyksiąże Otto, który polowanie na jelenie w tej miejscowości wydzierżawił na lat 10. Przedtem, od chwili, kiedy dobra nadwórniańskie przeszły w drodze kupna na własność rządową, wykonywał w tej miejscowości prawo polowania skarb we własnym zarządzie. Od czasu objęcia dóbr tych na własność państwa, dzięki energicznemu i racyonalnemu zarządowi król i ozdoba tamtejszych lasów: „jeleń“, uzyskał ochronę, był starannie pielęgnowany, o czem najlepiej świadczy obecny stan jego, przewyższający dziś cyfrę 400 sztuk. Cyfra ta jest najlepszym dowodem, ile zdziałać może troskliwa opieka nad zwierzyną nawet w bardzo krótkim czasie.

Arcyksiąże Otto przybył na łowy dnia 23. września do stacyi kolejowej w Nadwórnej, w ubraniu myśliwskiem. Na życzenie dostojnego gościa nie było na dworcu żadnych specyalnych powitań, oczekiwali tylko jego przybycia naczelnik lasów i dóbr państwowych w tej części Galicyi p. Alfred Rosenberg, którego zaraz po przedstawieniu arcyksiąże poprosił do swego powozu i wraz z nim udał się wprost do Rafajłowej, oddalonej o 36 klm. od Nadwórnej, do swego pałacu myśliwskiego, bardzo gustownie i w uroczem miejscu wybudowanego w zeszłym roku przez dyrekcyę lasów.

Zaraz tego samego dnia wieczorem rozpoczął arcyksiąże łowy.

Dnia 24. września, po wysluchaniu mszy św. w cerkiewce, udał się arcyksiąże na łowy w okolicę Rafajłowej, gdzie polując przez pięć dni podsunął się tak zręcznie i ostrożnie do 13-tu jeleni, że każdego mógł dobrze obserwać i strzelać, jednak jak prawdziwy myśliwy, wyrażając się, że mu nie chodzi o ilość, lecz jakość, wybrał z nich tylko trzy sztuki do strzału, a to: 2 dwunastaki i jednego szestnastaka, z tych szczególnie ostatni odznacza się wspaniałym wieńcami, ważącym po wygotowaniu około 9 klg.; cały jeleń ważył przeszło 260 klgr.

Później polował arcyksiąże także w dolinie Doużyniec i Sałatruk, gdzie również widział dużo jeleni, a między nimi nawet bardzo piękne okazy dwunastaków i czternastaków. Nie strzelał jednak do nich, pomimo tego, że podsunął się na strzał, uznał je bowiem jeszcze za mało silne. Wyraził się jednak, że knieja rafajłowska będzie za 2 iub 3 lata prawdziwem eldoradem jeleni silnych.

Teraźniejszy stan jeleni tak piękny, wzrósł właściwie od 3 lat do tak imponującej cyfry i dlatego to przeważna jeszcze między nimi liczba młodych jeleni. Te jednak przy teraźniejszej pieczołowitości po 2 do 3 lat wzrosną i wówczas w istocie knieja rafajłowska będzie prawdziwym eldoradem jeleni, jak się wyraził arcyksiążę.

W ostatnim dniu pobytu arcyksięcia brał udział w łowach książę Braganza, któremu udało podsunąć się do jednego silnego jelenia, nie będąc jednak pewnym celnego strzału, gdyż było już za ciemno, nie strzelał, zadowoliwszy się widokiem wspaniałego zwierza.

Z arcyksięciem polował adjutant jego Ledebur i naczelnik dyrekcyi lasów p. A. Rosenberg. Hr. Ledebur przybył na dwa dni przed arcyksięciem, aby poczynić do łowów odpowiedne przygotowania. Hr. Lebedur ubił 2 jelenie w dolinie doużynieckiej, a p. A. Rosenberg, któremu udało się w trudnych warunkach bez ścieżek dotrzeć do 2 dziesiątaków, nie strzelał do nich, bo były za słabe.

Według raportów dotyczącego personalu leśnego ryczało zwyż 80 jeleni, pomimo tego jednak rykowisko w roku bieżącym zaliczać można do mniej korzystnych z powodu upałów i posuchy. Rykowisko jeleni i to przeważnie młodych odbywało się po największej części w nocy, a starsze jelenie pomrukiwały tylko słabo wieczorem i w nocy.

Dla zwierzyny urządzono na zimę lizawki i schroniska, a dla ułatwienia łowów urządzono ścieżki podchodowe wcale wygodne. Pomimo tego arcyksiążę w miarę potrzeby zbaczał ze ścieżek i puszczał się nieraz przez gęstwinę do uciążliwych dla dostępu miejsc, zawalonych starymi leżakami, aby tylko bliżej podsunąć się pod zwierza.

Gdyby we wszystkich naszych kniejach opiekowano się tak łowiectwem jak tutaj, wówczas kraj nasz mógłby się stać eldoradem łowieckiem i obok przyjemności dla łowców, podniosłyby się i dochody kraju.

---

Batiatycze 12. października.

Ze względu na to, że już od tylu lat poluję, a nigdy mi się nawet coś w przybliżeniu podobnego nie przytrafiło, dzielę się z czytelnikami *Łowcca* opisem zdarzenia, którego byłem świadkiem. Oto dnia 8 października wyszedłem na kuropatwy i przepiórki. Strzeliłem do kuropatw i jedna

spadła na łan obsiany żytem, obecnie dość wysokiem. Pies skoczył po nią. Nagle stanął. Byłem pewny, że stoi do postrzelonej kuropatwy. Nagle pies skoczył; któż może opisać moje zdziwienie, gdy ujrzałem, jak może 10 kroków odemnie zaczęły z jednego z zagłębień wyskakiwać zające. Naliczyłem ich 11-cie, a jednego zastrzeliłem na pamiątkę. Co było przyczyną tego wspólnego „Schafcoupé“ zajęcy, nie mogę sobie wytłumaczyć. Może to uczyni który z druhów w św. Hubercie.

*Tadeusz Romanowski*
delegat brodzki.

---

Ulanów, nad Sanem.

Do szanownego Wydziału naszego Towarzystwa łowieckiego, który — jak dał tego dowody — stara się o podniesienie łowiectwa w kraju i chętnie zawsze śpieszy tam, gdzie coś dodatniego dla sprawy łowieckiej uczynić można, udaję się z wielką prośbą, aby i nam tu przyszło z pomocą. W powiecie niskim dzierżawcy polowań w miejscowościach między Sanem a Tanwią tępią lisy i drapieżne ptactwo, aby podnieść zwierzostan, ale niestety wszystkie ich dobre chęci rozbijają się o zuchwałość kłusowników, którzy zwierzynę tępią tem bezpieczniej, że popierają ich niektórzy dzierżawcy polowań.

Ostatnimi dopiero czasy udało się schwytać jednego z tych ptaszków, który popierał kłusowników i zjadał za tanie pieniądze przez rok cały, nie uważając na czas ochrony, zające, rogacze itd. Największy ten wróg zwierzyny jest sam dzierżawcą polowania i mieni się myśliwym w całem słowa tego znaczeniu. Mimo tego uważania się za myśliwego, nie zważał na przepisy ustawy, dawał kłusownikom proch i śrut, namawiał ich do zabijania zwierzyny na obcych terytoryach, a kłusowników, którzy przybywali ze zwierzyną do niego, nagradzał flaszką Expellera. Tak przynajmniej zeznał w sądzie jeden z kłusowników.

Gdy sprawa wyszła na jaw i oparła się o sąd, wszyscy z niecierpliwością oczekiwali wyniku procesu. Sąd po przeprowadzonej rozprawie skazał kłusownika na 6 tygodni aresztu, owego zaś pana tylko na 15 złr. i to nie za to, że kłusowników namawiał do zabijania obcej zwierzyny, lecz za to, że kupował zwierzynę podejrzaną.

Wyrok podano do wiadomości starostwa w Nisku.

Mając tak miłego sąsiada, udajemy się za pośrednictwem *Łowca* z prośbą do Wydziału, aby raczył u władzy poczynić kroki, by takim panom, którzy prowadzą konszachty z kłusownikami, polowań nie wydzierżawiano, a wydzierżawione już, odebrano.

---

# SPRAWOZDANIA MYŚLIWSKIE.

## Z Galicyi.

W ostatnich dniach września podczas rykowiska jeleni odbyły się w Berehach górnych u p. Antoniego Pogłodowskiego polowania, w których prócz gospodarza uczestniczyli p. Dyonizy Pogłodowski i Franciszek baron Burkhardt. W Berenach górnych — jak niemniej w rewirach Nasicznego i Caryńskiego, które wskutek dawniejszych praktyk łowieckich obecny właściciel odebrał prawie bez zwierzostanu, w tym roku po pięcioletniej, konserwatywnej i racyonalnej gospodarce myśliwskiej, zaprowadzonej według wskazówek doświadczonych myśliwych, okazał się wcale pokaźny stan jeleni. W ogóle dano tylko trzy strzały. Na rozkładzie: jeden czternastak, jeden szestnastak i ogromny dzik.

Dnia 26. września przybył osobowym pociągiem do do Doliny o godz. 7-ej z rana arcyksiąże Leopold Salwator, ks. August Koburski, pułkownik br. Artur Giesl, ochmistrz dworu i podkomorzy rotmistrz Zoltan Szabadhegy de Csalokör Megyerts i kapitan artyleryi Jerzy Pregle. Z Doliny udali się wszyscy na rykowisko jeleni w Mizuniu. Polowali do 7. października. Wynik polowania był pomyślny. Arcyksiąże zabił 3 jelenie, książe August Koburski jednego jelenia, pułkownik Giesl 3 jelenie, a rotmistrz Szabadhegy 2 jelenie. Dnia 7. bm powrócił arcyksiążę z gośćmi do Zagrzebia, wyrażając zarządcy lasów p. Maultzowi swe wysokie zadowolenie za znakomite gospodarstwo i staranie o podniesienie zwierzostanów.

## Z Królestwa.

Z Warszawy donoszą 23. września. Sezon polowania na kuropatwy zbliża się ku końcowi. Tegoroczny stan kuropatw nie należy do najlepszych. Mokra wiosna źle oddziałała na ląd, to też w wielu okolicach kraju mnóstwo gniazd zmarnowało się zupełnie. Zwłaszcza na gruntach cięższych zauważono znaczny ubytek kuropatw. Do szczęśliwych wyjątków należało świetne polowania, jakie odbyły się w początku bieżącego miesiąca w Kruszynie, dobrach należących do ks. Stefana Lubomirskiego, znanych z wybornych polowań zajęczych. Jednego dnia czterech myśliwych polując „strejfem“ t. j. na poderwanego, zabiło 360 sztuk kuropatw, a w parę dni później, trzech myśliwych, polując z naganką, zabiło 473 kuropatw, z czego 252 sztuk zabił hr. M. Zamoyski. Jest to najwyższa cyfra (rekord), jaką jeden myśliwy w ciągu jednego dnia zabił w naszym kraju Hrabia M. Zamoyski w kołach sportowych wogóle ma opinię najlepszego u nas strzelca.

Dnia 24. i 25. września odbyły się coroczne polowania dwudniowe na kuropatwy w Helenowie i na terytoryum jego folwarków pod Pruszkowem, należących do Jakóba hr. Potockiego. W sześć strzelb zabito 25 kuropatw, co zwłaszcza przy fatalnej niepogodzie pierwszego dnia polowania świadczy o obfitości zwierzyny w Helenowie. Królem łowów był p. Lilpop, właściciel Brwinowa, a po nim największą liczbą celnych strzałów odznaczył się p. J. Markowski z Warszawy. W czasie polowania widziano mnóstwo zajęcy, ale do nich nie strzelano, gdyż na zające odbywa się doroczne polowanie dwudniowe w Helenowie dopiero zimą.

W Popławach u p. Aleksandra Karszo-Siedlewskiego, odbyło się polowanie z naganką na kuropatwy. W ciągu jednego dnia czterech myśliwych zabiło 161 kuropatw. Królem polowania był p. Seweryn Kotkowski z Bodzechowa.






# Sprawy Towarzystwa.

Upraszamy tych pp. właścicieli polowań, którzy zamierzają w tym sezonie sprowadzić **kurupatwy, bażanty, lub zające**, aby raczyli nam bezzwłocznie podać kartką korespondencyjną, kiedy i jaką ilość tej zwierzyny pragną otrzymać. Tylko na mocy wczesnych zamówień może Wydział Tow. zawrzeć korzystne układy z dostawcami i zapewnić Członkom swoim najlepszy materyał. Doświadczenia zeszłorocznej akcyi w tym kierunku okazały, że, jeżeli ona ma być skuteczną, zamówienia muszą wpłynąć właśnie w tym właśnie czasie.

**Posiedzenie Wydziału Towarzystwa** z dnia 24. września 1898. Przewodniczący Wiceprezes Ordynat Czarkowski-Golejewski. Obecni: Członkowie Wydziału Pp.: Góralczyk, Hirsch, Klusik, Krogulski, Miziewicz, Szczerbicki, Szydłowski i redaktor p. Kolbuszowski. — Przewodniczący poświęca kilka gorących wyrazów pamięci zmarłego miłośnika i badacza natury, znakomitego pisarza ś. p. Władysława Spausty. Przez powstanie uczczono pamięć tego nieodżałowanego członka Towarzystwa i współpracownika „Łowca“. Przewodniczący zawiadomił Wydział, że jeszcze kilka prac nieboszczyka znajduje się w tece redakcyjnej „Łowca“ i że zostaną one oczywiście w „Łowcu“ umieszczone.

Na wniosek p. Miziewicza uchwalił Wydział wejść w porozumienie z Rodziną Zmarłego o odstąpienie po Nim prac, notatek i biblioteki. Do traktowania w tej sprawie upoważniono Członka Wydziału p. Hirscha.

W sprawie zmiany lokalu urzędowego Towarzystwa uchwalono polecenie dla Zarządu, aby na posiedzeniu grudniowem przedłożył Wydziałowi wniosek w tej mierze.

Z kolei przedstawił Sekretaryat Wydziałowi ruch członków Towarzystwa. Ruch ten wzmaga się stale i dzisiaj liczba członków Towarzystwa dosięgnęła tej wysokości, jakiej jeszcze dotychczas nie było. Wobec tego i wobec starań, jakie czyni Wydział, aby świat łowiecki w należeniu do Towarzystwa coraz więcej upatrywał interesu, należy się spodziewać, że samoistny byt Towarzystwa jest zapewniony. Redaktor Kolbuszowski stawia wniosek, aby ze względu, że środki na to pozwalają i że wywdzięczając się za coraz większy współudział kół łowieckich w kraju w pracach Towarzystwa, winniśmy Czytelnikom „Łowca“ pismo to czynić coraz więcej interesującem, aktywować obecnie dawną uchwałę Wydziału w sprawie wydawania „Łowca“ dwa razy na miesiąc i zmianę tę wprowadzić od 1. stycznia 1899. Wydział uchwala ten wniosek i poleca ogłosić tę zmianę w prospekcie na rok 1899 z tą uwagą, że wysokość wkładki obecnej a zarazem prenumeraty pozostaje ta sama tj. **5** zł., **5** rubli = 10 marek rocznie.

Postanowiono zarazem wprowadzić pewne ulepszenie rzeczowe i techniczne w wydawaniu „Łowca“. Między innemi postanowiono używać począwszy od r. 1899 lepszego papieru do wydawania „Łowca“.

Uchwalono także zmienić winietę tytułową „Łowca“ a uzyskać ją w drodze konkursu o dwóch nagrodach, jedna 150 koron, druga 50 koron. — Sprawozdanie o staraniach Zarządu i Redakcyi o fachowych korespondentów z Królestwa Polskiego i W. Ks. Poznańskiego, również o rozwijającym się coraz więcej dziale inseratowym, przyjęto do wiadomości.

W wykonaniu zalecenia c. k. Namiestnictwa, w sprawie używania naszych delegatów jako rzeczoznawców w sprawach łowieckich, zażądała już przeważna liczba c. k. Starostw podania nazwisk delegatów, mających służyć jako mężowie zaufania. Okazała się potrzeba uzupełnienia w niektórych powiatach liczby delegatów i z tego powodu postanowił Wydział zaprosić na delegatów w powiecie *bialskim* p. Hermana Czecza; *w buczackim*: pp. Maryana Błażowskiego, Marcelego Bogdanowicza, Franciszka Horodyskiego; *w cieszanowskim*: pp. hr. Władysława Brunickiego, Długoszowskiego, Dudka, Grunnera, Kapkę, Rivolego, Siarczyńskiego, Żuczkiewicza; *w czortkowskim*: pp. Horodyskiego i Krokowskiego; *dolińskim*: Kossakiewicza; *w drohobyckim*: p. Pallasa; *w jasielskim*: p. Riegera; *w kolbuszowskim*: pp. Hupkę, Kozłowieckiego i Dybowskiego; *w liskim*: p. Ludwika Baldwin-Ramułta; *w łańcuckim*: pp Łastawieckiego, hr. Jana Mycielskiego, Stanisława Nowińskiego, Jerzego Turnana; *w limanowskim*: pp. Marsa, Żuławskiego; *w mieleckim*: pp. Artwińskiego, Sękowskiego i Chrząszczewskiego; *w niżańskim*: p. Kostheima; *w rudeckim*: pp Bala, Jankę i Trojana; *w staromiejskim*: p. Ciblarza; *w tarnowskim*: pp. Berkego, Dietla, Pauera, Rozwadowskiego, Tabaczyńskiego; *w stryjskim*: p. Schmidta; *w strzyżowskim*: p. Wojnarowskiego; *w tłumackim*: pp. Drzewickiego, Mencla, Szczepańskiego; *w zaleszczyckim*: p. Mieczysława hr. Pinińskiego; *w złoczowskim*: p. Krobickiego.

W sprawie ściągania zaległych wkładek, wywiązała się dyskusya. Zdaniem p. Krogulskiego należałoby tych pp. Członków, którzy jeszcze za r 1897 z wkładką zalegają, wezwać stanowczo, aby się oświadczyli, czy chcą do Towarzystwa dalej należeć, czy też z Towarzystwa występują — przenoszenie bowiem zaległości takich, jako należytości czynnych na rok następny, może być przyczyną nieporozumienia co do wysokości dochodów Towarzystwa. P. Miziewicz oświadcza, że zalegających z wkładkami za r. 1897 członków jest tylko około 20-tu, że każdy z nich przyjmuje „Łowca“ — że więc tem daje do poznania, iż wystąpić z Towarzystwa nie ma zamiaru. Jeżeli ci członkowie nie uiścili dotychczas wkładki to jest to raczej skutkiem zapomnienia, gdyż o innym jakimkolwiek powodzie myśleć nie można, wobec tego, że wkładka jest przecie kwotą niewielką. Należy więc jeszcze raz przypomnieć tym członkom, że wkładki nie uiścili, a z pewnością uiszczą ją — posłanie zaś kategorycznego wezwania mogłoby wywołać odpowiedź taką, przy której Towarzystwo straciłoby członka, a zarazem dwuletnią wkładkę; gdy zaś Towarzystwu chodzi o pozyskiwanie jak największej liczby członków, nie należy dawać sposobności już pozyskanym członkom, aby występowali i wystąpienie to mogli tłumaczyć tem, że Zarząd wysyłał do nich pisma w zanadto „stanowczym“ tonie. Z wkładkami za r. 1898 zalega jeszcze około 200 członków — spodziewać się jednak należy, że po przypomnieniu, jakie Zarząd wysyła, równocześnie wkładki te zostaną uiszczone.

P. Krogulski przedkłada pismo Towarzystwa myśliwskiego św. Huberta we Lwowie, zawierające skargę na nadużycia, spełniane w rewirze „Mochnate“, gdzie ubito dwie łanie i śpiczaka jelenia. Pismo to uchwalono przedłożyć c. k. Namiestnictwu z prośbą o jak najenergiczniejsze zbadanie tej sprawy i ukaranie winnych.

Na tem posiedzenie zakończono.

---

**Wydział uprasza Szanownych pp. Członków, aby raczyli stwierdzać w podawanych tu wykazach wpłaconych kwot, czy są wymienieni i czy z należytą kwotą i w danym razie zechcieli bezzwłocznie kartą korospondencyjną reklamować. W ten sposób pomogą Wydziałowi sami p. p. członkowie wypełniać należytą kontrolę nad funduszami Towarzystwa i przyczynią się do usunięcia wszelkich nieporozumień, jakieby z tytułu niedostatecznego dotychczasowego sposobu kwitowania wyniknąć mogły. Niereklamowane w ciągu dwóch miesięcy wykazy zostaną zakontowane w księgach Towarzystwa jako przez wszystkich interesowanych pp. Członków przyjęte.**

**Zapłacili wkładki za r. 1898 w miesiącu sierpniu 1898.**

| | zł r. | | zł r. |
|---|---|---|---|
| Abrahamowicz Dawid | 5·75 | Lemer Tytus Dr. | 5·— |
| Błażowski Maryan Baron | 6·— | Łoś Witołd br. | 5·— |
| Bukojemski Antoni | 5·80 | Pszyk Mikołaj | 7·70 |
| Demianowski Zygmunt | 5·— | Punicki Maryan | 7·50 |
| Gubrynowicz i Schmidt | 1·75 | Waldberg B. | 7·50 |
| Haczewski Stanisław Dr. | 7·70 | Weigel-Milleret | 5·— |
| Homolacs Stanisław | 6·— | Zwolski Stanisław | 5·75 |

**Zapłacili za r. 1898 w miesiącu wrześniu 1898.**

| | zł r. | | zł r. |
|---|---|---|---|
| Cieński Stanisław | 5·75 | Myczkowski Stefan | 5·75 |
| Czartoryski książe Witołd | 5·70 | Narajowski Dr. Józef | 5·80 |
| Denker Kazimierz | 5·10 | Niezabitowski Stanisław | 5·75 |
| Gubrynowicz i Schmidt | 3·50 | Obertyński Jan | 5·75 |
| Heydel baron Franciszek | 5·80 | Obertyński Żdzisław | 5·10 |
| Kasyno w Sanoku | 1·25 | Obmiński Juliusz | 5·85 |
| Kesselring Rudolf | 5·75 | Olszewskiego biuro ogłoszeń | 3·— |
| Kwaśniewski Jan | 1·50 | Serwatowski Teodor | 5·— |
| Łasiński Jozef | 5·10 | Szydłowski Dr. Henryk | 5·— |
| Maniewski Adam | 5·80 | Tow. myśl. w Sokalu | 5·— |
| Michałowski Józef | 5·85 | Wasilewski Tadeusz | 7·70 |
| Milński Franciszek | 5·75 | Weigel Żdzisław | 1·25 |

# KRONIKA.

**Numer bieżący spóźnił się z powodu przeniesienia lokalu drukarni z ul. Sobieskiego na ul. Cichą.**

**Konkurs na winietę.** Wydział galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego rozpisuje niniejszem konkurs na winietę dla organu Towarzystwa, dwutygodnika: „Łowca“. Winieta ta, która może być malowaną lub rysowaną, ale w ten sposób, aby z niej można było zrobić klisze, powinna przedstawiać scenę z polowania lub z życia zwierząt, a w scenę tę w dowolny sposób powinien być wpleciony tytuł pisma: *Łowiec*. Najpożądańszemi byłyby sceny z polowania lub życia tych zwierząt, które są właściwe naszym borom. Zresztą fantazyi artysty pozostawia się wolne pole.

Klisza zrobiona z rysunku będzie miała 19 ctm. szerokości, a 15 ctm. wysokości, odpowiednio więc rysunek musi być wyższy i szerszy.

Jako pierwszą nagrodę za najlepszą winietę przeznacza Wydział gal. Towarzystwa łowieckiego 150 koron, jako drugą 50 koron. Winieta odznaczona pewną nagrodą będzie reprodukowaną w *Łowcu*, jako stała winieta tytułowa. Oprócz tego za poprzedniem porozumieniem się z artystą zastrzega sobie Wydział prawo reprodukowanie w *Łowcu* i innych winiet, nie odznaczonych nagrodą.

Rysunki należy nadsyłać najpóźniej do 1 grudnia br. pod adresem: Redakcya *Łowca* we Lwowie.

O wyborze rysunków rozstrzygać będzie Wydział galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego. W numerze grudniowym *Łowca* i w pismach codziennych ogłoszonym będzie wynik konkursu.

**Albatros.** Na polu Mokotowskiem pod Warszawą, nieopodal od Rakowa, robotnicy znaleźli martwego ptaka. Zdaniem znawców jest to albatros, którego snać jakaś wichura zapędziła na Mokotów z brzegów Bałtyku.

**Wypadek na polowaniu.** Gazeta kołomyjska donosi: „Jeden z naszych nemrodów, Dr. H. opowiadał nam co następuje: W sierpniu wybrałem się ze strzelbą na przechadzkę w gminie nad Dniestrem, w której prawo polowania od kilku lat dzierżawię. Wiedząc z doświadczenia, że w czasie gorących upałów kozły najchętniej kryją się w wysokich trawach i zbożu, uchodząc z lasu przed dokuczającymi im komarami, szedłem ostrożnie z strzelbą w ręku. Jakoż niedługo, a ujrzałem ogromnego kozła, sadzącego prosto na mnie. Stałem za krzakami i sądząc, że kozioł mnie nie widzi, z flegmą wymierzyłem i... spudłowałem. Kozioł, jak gdyby strzału nie słyszał, rzucił się prosto na mnie i jednem uderzeniem powalił na ziemię. Podnoszę się, klękam na jedno kolano i widzę umykającego kozła. Żal mi się zrobiło uchodzącej zdobyczy i nie mierząc prawie, strzelam z drugiej lufy. Tym razem nie chybiłem“. Gdyby nie wiarygodność opowiadającego i siniaki na ręce i boku, jako dowody prawdziwości wypadku, możnaby wziąć całe opowiadanie naszego Nemroda za udałą łacinę myśliwską.“

Z Kęt piszą 10 bm.: W Kętach, tuż w pobliżu domów, polowali pp. dr. Z. Kuliński, adjunkt sądowy z Krakowa, Wład. Stopa i Stan. Podlewski w przeszły czwartek. Dwie dziewczynki szkolne, siostry Klimczyńskie przechodząc drogą, zostały postrzelone, jedna w głowę, druga w rękę i nogę. Życiu ich nie grozi niebezpieczeństo Sprawa została załagodzona, obydwie siostry otrzymały po 50 zł. i koszta lekarskie.

**Nurek uchowaty** (*Podiceps auritus*) ptak dość rozpowszechniony w południowej Europie, Azji północno-zachodniej i Afryce północnej, zabłąkał się na Górny Szląsk i tam połknął... trochę ołowiu. Zabił go leśniczy Holewa w Starej Czerwonej Wodzie.

**Trochę z łaciny.** Stary leśniczy opowiada młodszym następującą historyę, a przysięga, że prawdziwa:

„Jak panowie wiecie, lisy są żółtawo-czerwonawe, ale ja widziałem już białego, a stało się to w następujący sposób. Gdy zeszłej zimy wracałem przez bukowy las do domu, widzę takiego szelmę, który ustawicznie chodzi w kółko dokoła czegoś, czego dostrzedz nie mogłem. Zamiast strzelać, stanąłem jak baran i gapię się na to dziwowisko jak cielę na nowe wrota. A coraz to straszniej szelma się kręci, widok coraz więcej przerażający! Lis staje się coraz jaśniejszym, coraz bielszym — przecieram moje stare oczy, ale tak jest! Za dużo tego dobrego w końcu mi było, składam się więc i — bęc! leży bestya Podchodzę bliżej, a przedemną leży białe jak śnieg, tęgie lisisko. A co było przyczyną? W środku koła, które było wyrysowane jego stopami jakby cyrklem, spostrzegam flaszeczkę, którą przed kilku dniami zgubiłem. A wiecie, co to była za flaszeczka? Wymalowana była na etykiecie trupia główka, wydrukowane było „trucizna“, a zawierała strychninę. Jak to zobaczył, tak szelma ze strachu posiwiał!“

**Niezwykła zdobycz myśliwska.** W Raszycach, w Krainie, w dobrach bar. Lichtenberga, jeden ze strażników zastrzelił zwierzę, którego nazwy nikt ze służby leśnej określić nie mógł. Wreszcie sprowadzono z Lublany zoologa, który orzekł, iż zabitem zwierzęciem jest.. hyena centkowana, spotykana w warunkach normalnych jedynie w Afryce południowej i Azyi wschodniej. W żołądku zabitej hyeny znaleziono obok piór ptasich ziarna kukurudzy. Obecnie stwierdzono, iż hyena w kwietniu r. b. uciekła z menażeryi w Lublanie i dotychczas błąkała się po lasach. Baron Lichtenberg ofiarował niezwykłą zdobycz myśliwską do muzeum narodowego w Lublanie.

**Na polowaniu.** W czasie polowania na kaczki na jednem z jezior we wsi Darnicy pod Kijowem, dnia 8 października utonęli Stanisław Babiński i przyjaciel jego Wacław Gajewski. Zwłoki ich znaleziono na dnie rzeki, dopiero w cztery dni później. Dwa trupy leżały obok siebie, przy nich strzelby. Przypuszczają, że w czasie polowania łódka przewróciła się, a myśliwi wpadli w wodę.



**Treść**: Od Redakcyi. — Władysław Spausta. — Tychon. — Polowanie na niedźwiedzia. — Niedźwiedź swatem. — De omnibus rebus et quibusdam aliis. — W obronie lisa. — Korespondencye. — Sprawozdania myśliwskie. — Kronika.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya „Łowca“: Lwów, pl. Chorążczyzny 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski**.

Z drukarni „Dziennika polskiego“ Dra Feliksa Woynarowskiego pod zarządem Fr. Kattnera, we Lwowie ul. Cicha l. 5.